# EPOKA

ROK V. Warszawa, 5 maja 1938 r. Nr 13 (116)

## Treść numeru:



# Daremne usiłowania

Wielkie obozy polityczne w Polsce opierają swe istnienie nie na wyraźnych i określonych programach, lecz na podstawach... personalistycznych. Tak zapewnia młodokonserwatywna „Polityka". Wedle tej osobliwej teorii" siły polityczne grupują się raczej dookoła **osób**, niż dookoła **programów**". Przykładów dostarczają rzekomo: sanacja i endecja.

Oczywiście tylko najbardziej naiwny czytelnik weźmie na serio taką ocenę politycznego charakteru polskiego obozu antydemokratycznego: „Polityka" może z największą nawet słusznością wymieniać wszystkie niedomagania i słabości obozu sanacyjnego, ale ta — bardzo przyjacielska — krytyka nie zdoła zasłonić rzeczywistego, społeczno-politycznego charakteru tego obozu. Opowiadanie, że sanacja nie posiada żadnego programu politycznego, jest naprawdę bajeczką dla najnaiwniejszych!

Podobną wartość mają też zapewnienia o „bezprogramowości" endecji, która stoi rzekomo tylko na autorytecie Romana Dmowskiego. Program endecki, program bardzo wyraźny i zdecydowany, przejawia się przecież w codziennej politycznej i społecznej praktyce obozu „narodowego"! Pomniejszanie znaczenia endecji w dzisiejszej sytuacji politycznej ma więc tę samą wartość i płynie z tych samych intencyj, co podkreślanie rozdźwięków w obozie sanacyjnym, przy zasłanianiu tego, co stanowi istotną treść jego polityki i jedyną rację jego istnienia.

Tylko naiwni uwierzą zapewnieniom „Polityki", że endecja nie odgrywa dziś żadnej czynnej roli politycznej, że „redukuje się do roli wielomilionowego kibica". Nie trzeba dużej przenikliwości politycznej, żeby zrozumieć, jak nieocenione usługi to „kibicowanie" endeckie oddaje istniejącemu stanowi rzeczy. Masowa dywersja „narodowa", kierując dążenia polityczne pewnej części ludności nie ku wielkim, dalekosiężnym zadaniom demokracji, lecz na tory straganowe, skuteczniej, niż wszelkie inne sposoby, utrwala dzisiejsze stosunki, wzmacnia ich podstawę, stwarza grunt pod ostateczną totalizację życia publicznego, o czym marzą przecież wszyscy nieprzyjaciele demokracji, bez względu na dawne, coraz bardziej historyczne, różnice.

Posłuchajmy dalszych wywodów „Polityki": „To samo jest u ludowców, którzy w podobnej sy-

tuacji przepołowili by się mniej więcej na 2 równe części, z których jedna ciągnęła by, zresztą śladem dawnego Piasta, dość wyraźnie do frontu nacjonalistycznego i katolickiego a druga do frontu ludowego. Wśród ludowców nie ma też żadnego konkretnego programu, nie ma żadnych ustalonych przekonań poza „sanacja delendam esse".

Pomijamy tu pobożne życzenia naszej neokonserwy, wyrażone w tęsknej nadziei na „przepołowienie" Stronnictwa Ludowego. Nie czujemy się powołani do szczegółowego rozprawiania o problemach wewnętrznych ruchu ludowego. Od tego jest prasa Stronnictwa i są pióra bardziej od nas uprawnione. Ale cała opinia demokratyczna widzi w ruchu ludowym szereg zjawisk, które dla każdego demokraty są do przyjęcia. A zjawiska te wróżą, że nadzieje „Polityki" pozostaną i nadal tylko... nadziejami. Chłopi wyżej cenią nieugiętą postawę ideową i wierność sprawie, niż platoniczny, werbalny radykalizm. Stosunek całego ruchu ludowego do „frontu nacjonalistycznego" zupełnie niedwuznacznie charakteryzują zamieszczane w pismach ludowych artykuły czołowej osobistości Stronnictwa, osobistości, która napewno lepiej od redaktorów „Polityki" zna i rozumie tradycję dawnego Piasta...

Twierdzenie, że ruch ludowy „ nie ma **też** żadnego konkretnego programu, nie ma żadnych ustalonych przekonań poza „sanacja delendam esse" — to nie tylko próba zdeprecjonowania i zdyskredytowania ludowego programu społeczno-politycznego. Rozumiemy, że wielbicielom faszyzmu bardzo się nie podoba" rząd oparty na zaufaniu mas ludowych, kontrolowany przez Sejm i odpowiedzialny przed Sejmem" — jak tego wyraźnie żąda program Str. Ludowego. Są to istotnie rzeczy bardzo nieprzyjemne. Lepiej, żeby ich nie było. Lepiej wmawiać naiwnym, że ruch ludowy nie ma żadnego konkretnego programu, ani żadnych ustalonych przekonań!

Ale to zrównanie Stronnictwa Ludowego pod względem „bezprogramowości" z sanacją i endecją ma posłużyć całkiem praktycznym, doraźnym celom.

Tylko głupcy uwierzą w „personalistyczne" sprężyny wielkich, masowych ruchów polityczno-społecznych. Ale na tym głupstwie redaktorzy „Polityki" budują wszystkie swe reakcyjne nadzieje. Skoro bowiem ruch ludowy nie ma żadnego programu i stoi niemal przed rozłamem, to walka z nim jest bardzo prosta. Bezprogramowości ludowców przeciwstawić trzeba... siłę:

„Było by błędem sądzić, że te nastroje bojowe (wśród ludowców) są wywołane czym innym, jak tylko przekonaniem o słabości przeciwnika, o słabości reżimu". Dlatego odpowiedzią, **jedyną odpowiedzią** w tych warunkach powinno być jedynie i wyłącznie wzmocnienie rządu i reżimu" — woła organ młodokonserwy — „Bo pomimo wszystkich błędów reżim ma dotąd **karty** w ręku i od rozwoju sytuacji wewnątrz obozu rządzącego zależą losy Polski a nie od taktyki tej czy innej opozycji". Dla ludzi traktujących wielkie ruchy polityczne jako „konkurentów" do władzy, których zwalczyć można z „kartami" w ręku, dla ludzi, uważających rządy „elity" za najlepszy ustrój polityczny, rozwiązanie najbardziej podstawowych zagadnień państwowych, rozstrzygnięcie losów Polski zależy oczywiście tylko od takich czy innych procesów w łonie tej „elity". I przyszłość kraju widzą ci ludzie jedynie w pomyślnym dla swych koncepcyj „rozwoju sytuacji wewnątrz obozu rządzącego"! Tu leży klucz do rozwiązania wszystkich naszych trudności politycznych i społecznych, rozwiązania, które — jak podkreśla „Polityka" — dokonać się może tylko w atmosferze autorytetu i siły"!

Taką tylko odpowiedź znajduje osamotniona w społeczeństwie „elita" wsteczników na żądania wielomilionowej rzeszy chłopskiej, która przemawia coraz częściej w imieniu własnym i całego narodu. I tylko ludziom politycznie i psychicznie zupełnie obcym temu, co się dzieje w społeczeństwie, może się wydawać, że dopuszczenie szerokich mas do współudziału w rządach osłabi państwo. Dla każdego, kto z patriotycznego nie zaś „elitarnego" stanowiska patrzy na sprawy państwowe, jest pewnikiem, że współodpowiedzialność wszystkich obywateli za losy państwa prowadzi do jego wzmocnienia, że demokracja zapewnia temu państwu oparcie na potężnym fundamencie siły ludowej i oddaje mu do rozporządzenia niewyzyskaną energię twórczą rzesz pracujących.

Obchody pierwszomajowe bardziej niż kiedykolwiek stały się w roku bieżącym wyrazem jednomyślnej postawy demokracji. W pochodzie PPS obok delegacji „Wici" wystąpił Klub Demokratyczny z prezesem prof. M. Michałowiczem na czele.

W chwili, gdy endecja, mizdrząc się, zabiegała o porozumienie z Stronnictwem Ludowym ,jego urzędowi przedstawiciele na akademiach pierwszomajowych manifestowali w wielu punktach kraju swoją łączność z PPS. Chłopi imieniem stronnictwa zapewniali, że stosują dziś politykę realną, która „wskazuje, że poza chłopami siłą główną jest świat pracy, a jego najpowszechniejszą organizacją polityczną jest PPS". Te ważkie słowa, wypisane w „Zielonym Sztandarze", nie pozostały bez echa, lecz zyskały szybko autorytatywne potwierdzenie w enuncjacji red. M. Niedziałkowskiego, który imieniem PPS uznał, iż „ruch ludowy odrzucił jakiekolwiek możliwości swego współdziałania z prądami faszystowskimi... I ludowcy, i my, to dwa ruchy samodzielne, które spotkały się ze sobą na pewnym odcinku wspólnych zadań. Ręce, wyciągnięte wzajemnie ku sobie napewno nie zawisną w powietrzu". Napewno nie zawisną te krzepkie dłonie w powietrzu, ale nie po to ,jak ręce endeckie, które znów pierwszego maja zdradziecko mordowały i przelewały krew obywateli, lecz żeby w wspólnym i twardym wysiłku wzmóc potęgę Rzeczypospolitej przez wyzwolenie wszystkich sił narodu.

*J. WĘGLIŃSKI.*

---

*Na szczęście rzadko wielka siła, wielkie piękno idą w parze z niską, wsteczną tendencją, bo idee wsteczne głoszą zwykle siły marne, lub znieprawione, kupione złotem, kadzidłem, zaszczytami — a nikt za pieniądze, w służbie, nie walczy tak, jak walczy z głębokiego przekonania. Wszakże koalicja żołdaków całej Europy nie zdołała pokonać niewyćwiczonych w sztuce wojennej obywateli Francji.*

*Wacław Nałkowski.*

# Kalendarz chwały endeckiej

W sprawozdaniach z obchodów tegorocznego święta majowego w Polsce prasa codzienna z dn. 2.V 1938 r. podała między innymi wiadomości następujące:

„Z Kielc donoszą o krwawej zbrodni, dokonanej przez członków „Stronnictwa Narodowego".

Gdy pochód przechodził obok lokalu endeckiego, z balkonu rzucili endecy ulotki i... kamienie. Milicja PPS. chciała się dostać do tego lokalu — wówczas endecy zaczęli strzelać.

W rezultacie jeden z uczestników pochodu 23-letni Somczyk, został zabity; jest 10 rannych, wśród nich 4 — ciężko".

„We Lwowie pochód PPS został zaatakowany przez endecko - oenerowską młodzież akademicką koło gmachu politechniki. Rzucono kilka petard. Nastąpiła interwencja policji. W wyniku starcia zostało kilkadziesiąt osób rannych i poturbowanych".

„W Poznaniu przy powrocie robotników do Domu Robotniczego na *niezabezpieczonej ulicy*, zorganizowana bojówka pałkarzy endecko - oenerowskich napadła na przechodzącą grupę kobiet z Wydz. Kobiecego PPS.

W ruch poszły pałki i kamienie. Użyto petard. Napastnicy usiłowali rozpędzić robotników i robotnice. Zanim zdążono zorganizować obronę zbiry endeckie raniły sześć osób ciężko i kilka lżej. Nadbiegła wkrótce milicja PPS., która rozpędziła napastników".

***

Od pierwszej chwili swej działalności solidaryzowała się endecja z każdym gwałtem, nawet wtedy, gdy popełniany był na Polsce. Dziś apoteozuje hitleryzm i faszyzm, wzorując się na tych systemach gwałtu i stosując praktycznie nowoczesne barbarzyństwo, tak jak przed laty stosowała metody tyranii carskiej.

Kiedy korzystając z osłabienia caratu po klęskach zadanych przez Japonię, korzystając z ruchów rewolucyjnych, jakie ogarnęły całą Rosję wystąpił proletariat polski do walki o niepodległość Polski i wyzwolenie pracy — zadrżała endecja i rzuciła wszystkie siły dla ocalenia zagrożonego caratu, ocalenia wszechwładzy kapitału. W chwili, kiedy cały wysiłek zdrowej części społeczeństwa skierowany był do walki z najazdem, kiedy szubienice zabierały największych bohaterów, endecja organizuje bojówki, którym każe wspomagać carat, organizuje „Narodowy" Związek Robotniczy, aby pomagał kapitałowi w jego walce z robotnikami. Niechaj endeccy zbrodniarze nie umywają rąk z krwi robotników Łodzi i Zagłębia. Wystarczy kilka cytatów z ich pism, aby przypomnieć, kto tę krew przelewał wczoraj, tak jak przelewa ją dziś. Organ endecki „Kiliński" pisał w r. 1907 (Nr. 4).

ND i NZR wystąpiły do walki „z rwącą falą moskiewskiej rewolucji, zasad i doktryn socjalistyczno-międzynarodowych... postawienie mocnej tamy temu mętnemu zalewowi fal, rozkładu życia i ducha narodu było rzeczą i kwestią dalszego naszego egzystowania... i zostało przez obóz narodowy pomyślnie dokonane".

Lwowskie „Słowo Polskie" jeszcze w lipcu 1905 r. pisało o „nieuniknionej walce z socjalistycznymi zbrodniarzami" i zalecało nóż i rewolwer jako najlepszy argument. Nie tylko z socjalizmem — walczono z każdym, kto ośmielił się podnieść świętokradzką dłoń na rządy Najjaśniejszego Pana. Bojówki endeckie wykonywały jednocześnie rolę donosicieli i oprawców. Oto jak charakteryzuje okres walk bratobójczych sprawozd. z XI zjazdu PPS w r. 1909:

„Bandy maruderów włóczyły się po mieście, zatrzymywały przechodniów rewolwerami, rewidowały, a znalazłszy jakiś ślad przynależności do ruchu naszego pozbawiały życia. Na agitatorów czatowano, wciągano ich w zasadzki, wywoływano z fabryk i kładziono trupem na miejscu".

Podobnie jak dziś rekrutowały się te bojówki z wszelkiego rodzaju szumowin — wystarczy przypomnieć, że „komendantem" łódzkich bojówek narodowych był znany bandyta L. Denys, zastrzelony w czasie napadu już przez policję polską w r. 1919. Tacy to bohaterowie zaopatrywani w broń przez ochranę (po trzy ruble sztuka) — bronili narodu.

Wszystkie te walki organizowane i finansowane były przez endecję. W okresie największego nasilenia walk bratobójczych gazety endeckie judziły i zachęcały do dalszych mordów:

„Otrzeźwienie nastąpi dopiero wtedy, gdy robotnik szarpany nędzą zażąda rachunku od agitatorów i wygna z Łodzi krzewicieli anarchii" (Kurier Warsz. 28.XII 1906).

A więc socjaliści ponosili winę za nędzę robotnika, oni byli odpowiedzialni za lokaut, którym skazali parweniusze łódzcy 100 tys. robotników na śmierć głodową. Takimi metodami szajka menerów endeckich ratowała swoich mocodawców.

„Nie można pozwolić, by socjaliści bałamucili i prowadzili do zguby nieuświadomionych i obałamuconych. Przeciw zbrodniczej agitacji podżegaczy socjalistycznych należy stanowczo wystąpić, chociażby wypadło gwałt gwałtem odcisnąć; robotnicy winni na teror odpowiedzieć terorem, chociażby ceną krwi własnej i bratniej wyswobodzić się z tej ohydnej niewoli, w jakiej od dwóch lat trzymają ich socjaliści". („Gazeta Polska" 17.III. 1907).

Nie było teroru zaborców niszczących każdy przejaw polskości, nie było teroru więzień i szubienic, był tylko teror socjalistów — teror tych, którzy walczyli, przeciwko 14 godz. dniu roboczemu, walczyli o niepodległość.

W kwietniu 1907 r. zorganizowały bandy „narodowców" krwawą rzeź „Żydów i socjalistów", w ciągu trzech dni padło na ulicach Łodzi 36 zabitych i 41 ciężko rannych (w tym 6 Żydów). Rzeź ta wywołała spazm radości wśród wodzów endecji, zachłystywała się wieściami z „placu boju" banda narodowych zdrajców:

„Te walki bratobójcze są jakby pojedynkami, w których obie strony walczą mniej więcej jednakową bronią, w jednakowych warunkach. Jest pewna rycerskość w tych zapasach, w których bracia zabijają braci".

„W Łodzi nie ma miejsca na sielankę zgodnego współżycia. W Łodzi toczy się walka instynktu narodowego z anarchią rewolucyjną i ta walka odraczana dotychczas musi być wreszcie stoczona". (Gazeta Polska" 16.IV 1907).

R. Dmowski na wiecu w Filharmonii chełpił się:

„Przeciw socjalizmowi wytężyliśmy wszystkie siły. Przyznać musimy, że w walce z socjalizmem zmuszeni byliśmy przelać krew bratnią".

Wojnie domowej położył wreszcie kres sam proletariat łódzki, którego otrzeźwiły strumienie krwi — mimo że endecja nawoływała do dalszych rzezi.

Od pierwszych dni swego istnienia ziała też endecja nienawiścią do wszelkiej próby walki o niepodległość i do legionów Józefa Piłsudskiego. „Przegl. Wszechp." w r. 1902 pisał:

„Dziś powstanie jest absolutną niemożliwością", „wprawdzie po Londynach i Paryżach fabrykuje się b. szczegółowe, aż do drobiazgów wykończone programy powstańcze, ale to robią półgłówki socjalistyczne".

Walka organizacji bojowej PPS z najazdem jest dla Dmowskiego świętokradztwem, w sierpniu 1905 roku, pisze on, że byłoby to

*„coś wstrętnego, coś noszącego znamiona narodowej zbrodni, kłócącego się z całą naszą tradycją porozbiorową"(!!!)*

W liście do Jeża z dn. 9.VI 1906 r. tak Dmowski ocenia walkę jaką prowadziła kierowana przez Piłsudskiego organizacja bojowa:

„Piekłem jest Królestwo. Cały ten syfilis polityczny, którym nas zarażali Moskale przez lat czterdzieści wysypał się obecnie". „Utworzyli sobie drużynę bojową, złożoną z chłopaków od lat 15 do 20, z robotników bez pracy, z nożowców i złodziei nawet zwyczajnych. Dla tej drużyny sztabem są Żydzi, histerycy i najzwyczajniejsi wariaci (już stu ich przewieziono z cytadeli do szpitali dla umysłowo chorych, to jest fakt notoryczny)... organizacja rewolucyjna przekształca się stopniowo w szajkę bandytów, gorszych od zwykłych, bo oprócz rabunku szerzących bezcelowo zniszczenie".

Cyniczni politycy endeccy tak jak dziś szermowali argumentem żydowskim, tak jak dziś pisali o obcych agenturach. W r. 1912 w chwili ożywionego przygotowywania zbrojnych kadr przyszłych legionów, pisał Balicki o ruchu strzeleckim:

*„Kierunek niepodległościowy"... „poczynając od nazwy, do której ucho czysto polskie odruchowo wstręt czuć musi, wszystkie jego cechy umysłowo polityczne zdradzają wpływy duchowe żydowskie".*

Wiekopomne to zdanie wyczytać można w „Przeglądzie Narodowym" r. 1912 s. 353 w artykule podpisanym przez Zygmunta Balickiego. Tamże znaleźć można jeszcze i takie zdanie:

*„Kierunek niepodległościowy zasługiwałby z tego tytułu na nazwę polskiego sjonizmu".*

A „Gazeta Warszawska" w tymże czasie pisała wprost o obcych agenturach, jako o źródłach przygotowań do zbrojnej walki o niepodległość:

„Przyszedł moment, że *komuś po za Polską taki* prąd w Polsce wydał się pożądanym jako ewentualne narzędzie dla jego celów... Gdy *komuś obcemu* zależy na tym, żebyśmy popełnili najoczywistszą niedorzeczność, zawsze znajdą się ludzie, którzy się tego podejmą".

Jeszcze w r. 1915 pisała „Gaz. Warsz.", iż nic nie może spowodować „gwałtowniejszego uderzenia krwi na mózg", jak myśl o oderwaniu od Rosji. Jak natomiast wyobrażali sobie endecy przyszłość Polski mówi o tym odezwa wydana w listopadzie 1914 r. a podpisana m. in. przez Dmowskiego i Balickiego:

„Wszystkie nasze walki i męczarnie dnia wczorajszego odeszły w przeszłość. Jedna tylko przed narodem stanęła sprawa — rozbicie złowrogiej potęgi niemieckiej i *zjednoczenie Polski pod berłem Monarchy Rosyjskiego*".

Berło monarchy rosyjskiego — oto narodowy ideał mile drażniący czysto polskie ucho tych „narodowców".

Oto zaledwie znikomy fragment endeckiej przeszłości.

Staje przed nami pytanie: czy endecja od tego czasu zmieniła się choć na jotę, czy odwołała któreś ze swoich kłamstw, czy wodzowie jej odbyli pokutę za zdradzieckie czyny i śmiertelne grzechy wobec narodu polskiego? Czy wreszcie zmieniła metody walki? Czy inna jest dziś jej rola?

Każdy wyczyn endecki, każde słowo endeckich pism krzyczy dziś wielkim głosem, że wszystko zostało takie same!

Zacierają się w perspektywie lat ostrości walk politycznych i społecznych — ale nigdy nie zmieni się stosunek uczciwego człowieka do pospolitej zbrodni.

*W. K. BIEŃKOWSKI.*

# „Barbarzyński wyraz"

*Redagując w Paryżu „Trybunę Ludów" zabierał wieszcz - demokrata głos w najbardziej palących zagadnieniach polityki wewnętrznej i międzynarodowej. W słowach pełnych ognia, a jednocześnie genialnej wprost przenikliwości, przestrzegał lud francuski przed potężniejącą z dnia na dzień ofensywą reakcji rodzimej i europejskiej. Szczególną uwagę zwracał Mickiewicz na walkę narodu włoskiego o wolność i niepodległość, dławioną przez despotię habsburską i wysługujące się jej reakcyjne żywioły we Włoszech. Przypominamy najświetniejsze fragmenty artykułów, napisanych w tej sprawie przez Wieszcza. EPOKA.*

„Wrogowie ludu w Europie nie przestali działać solidarnie; co chwila czynami stwierdzają tę solidarność. Znają lepiej, niż ktokolwiek, swoje wspólne niebezpieczeństwa, teraz bardziej, niż kiedykolwiek, trzymają się z sobą. Taktyka ich polega na używaniu wszystkich swoich sił rządowych przeciw każdej z narodowości wyzwalających się z osobna i na zgniataniu w ten sposób jednych po drugich i jednych przez drugie".

„Wrogowie ludu w Europie mają możnych pomocników, przez których działają na samo centrum ruchu ludowego; mają pomocników we Francji, w narodzie, który jest wielką armią idei i interesów ludowych Europy..."

„Nici tego spisku klubu reakcyjnego umykają się naszemu baczeniu wskutek swej pajęczej subtelności. Stronnictwo ludowe nie ma policji ani szpiegów, a nawet ich nie potrzebuje; wystarczy mu widzieć to, co się objawia przy świetle dziennym, aby odgadnąć, co się knuje w ciemnościach".

„Wojna włoska jest wojną zasad. Wojna ta, cokolwiek o tym myśli dziś reakcja, nie jest jeszcze skończona i strony wojujące będą się jeszcze opierały wyłącznie na siłach moralnych dodatnich lub ujemnych. Marszałek Radetzky liczy bardziej, niż kiedykolwiek, na strach, jaki wzbudza wśród ludności, o wiele bardziej, niż na stan bojowy swych batalionów. Jeśli groził wodzom partii rewolucyjnej, to dlatego, że widział za sobą Niemcy dynastyczne i cesarza rosyjskiego".

„Gmatwają na nowo sprawę włoską wyrazami: *interwencja i nieinterwencja*. Te wyrazy nigdy nic nie znaczyły w dyplomacji. Ci, którzy je stworzyli i puścili w obieg. Ludwik Filip, Thiers i Guizot, chcieli tylko znaleźć wyraz dwuznaczny na powiedzenie zagranicy, że Francja działać nie będzie, a zarazem na wzbudzenie we Francji wiary, że i zagranica działać nie będzie... Mówiąc o Francji, zagranica oczywście miała na myśli tylko Francję urzędową, lud francuski zawsze rozumiał tak, jak my, ten barbarzyński wyraz nieinterwencja, stworzony przez Ludwika Filipa, wycofany z użycia przez rewolucję lutową i przywrócony w słowniku dyplomatycznym przez p. de Lamartine. Nieinterwencja, która za czasów Ludwika Filipa oznaczała kolejne opuszczenie Romanii, Polski, Belgii, Hiszpanii, Egiptu, Montevideo itd., teraz oznacza bezpośrednie pozostawienie wrogowi granicy francuskiej, porzucenie Piemontu i Sabaudii. Tak tedy, pozwoliwszy koalicji zająć wszystkie wysunięte posterunki, teraz otwiera się jej bramy miasta".

„Rząd nie pojmuje grozy położenia. Rząd republikański, prawdziwie narodowy, powinien by w chwilach krytycznych przede wszystkim zasięgnąć zdania narodu uzbrojonego. Nie, powtarzamy to, rząd nie pojmuje grozy położenia".

# Z DNIA NA DZIEŃ

### SKUTKI „PODMUCHU WIELKIEJ IDEI".

Organ Akcji Katolickiej, poznańska **„Kultura"** bardzo dosadnie ocenia radość naszych „katolickich" filo-hitlerowców z powodu zagarnięcia Austrii: „Prosto z mostu" zdradza duże pomieszanie pojęć, przypisując zupełnie zrozumiały niepokój opinii katolickiej o losy Austrii po Anschlussie „żydkom prasowym". Trudno zrozumieć, jak może pismo szermujące w imię katolicyzmu, twierdzić, że „Anschluss jest z punktu widzenia katolickiego zjawiskiem korzystnym"... Czyżby zatrute pogaństwem tchnienie hitleryzmu miało aż tak dalekosiężną siłę sugestywną?"

Jak widzimy — „żydki prasowe" z Akcji Katolickiej, której patronuje ks. prymas Hlond, zgoła inaczej zapatrują się na hitleryzację Austrii, niż gorliwcy z „Prosto z mostu".

A jakie korzyści przyniosło katolicyzmowi wcielenie Austrii do Rzeszy, można było dowiedzieć się z watykańskiego „Osservatore Romano", którego doniesienia PAT tym razem udostępnił czytelnikom polskim:

„na terenie b. Austrii rozwiązano dotychczas wszystkie uniwersyteckie stowarzyszenia katolickie, które posiadają łącznie 78 kół uniwersyteckich w Wiedniu, Grazu, Innsbrucku, Salzburgu i Leoben. Ponadto uległ rozwiązaniu chrześcijańsko - niemiecki związek gimnastyczny, liczący 38 tys. członków, zrzeszonych w 270 ugrupowaniach, oraz związek katolickich harcerzy pod wezwaniem św. Jerzego, liczący 5 tys. **członków, zrzeszonych w 155 ugrupowaniach** prowincjonalnych, Nie zapadła natomiast żadna decyzja w sprawie ligi młodzieży katolickiej, liczącej 60 tys. członków i 15 tys. aspirantów. Mimo to poszczególne organizacje ligi są rozwiązywane, zaś wielu kierowników aresztowano. Taki sam los spotyka rzemieślnicze i robotnicze stowarzyszenia katolickie, t. zw. „Gesellen-Vereine". Liczba tych stowarzyszeń wynosi 102. Analogiczna jest sytuacja związku dziewcząt katolickich, liczącego 60 tys. członkiń. Wszystkie wymienione organizacje katolickie należą do Akcji Katolickiej i są chronione przez konkordat".

Oto widome, namacalne wprost korzyści, które hitleryzacja Austrii przyniosła katolicyzmowi. Kardynał Innitzer może być zadowolony, p. Piasecki zaś zachwycony „podmuchem wielkiej idei".

## Masońska ręka w KAP-ej?

Czytamy w komunikacie Katolickiej Ajencji Prasowej:

„Przyszłość katolickiej młodzieży w Niemczech zarysowuje się w coraz bardziej ponurych barwach wobec ciągłych represyj i szykan ze strony władz hitlerowskich... Od dojścia do władzy Hitlera organizacje młodzieży katolickiej wkraczają w okres prześladowań, który można określić jako **prawdziwe męczeństwo za wiarę...** Wrogowie Kościoła usiłują najróżniejszymi sposobami wpłynąć na młodzież katolicką w kierunku zlaicyzowania jej i oddalenia od religii... Młodzież hitlerowska, wychowana zdala od religii, coraz bardziej oddala się od poziomu moralnego, na jakim stała młodzież katolicka. Świadczy o tym chociażby wzrastająca stale od 1934 r. **przestępczość** wśród tego odłamu młodego pokolenia. **Nauki narodowo - socjalistycznego reżimu poczynają już dawać owoce".**

Nasi, żerujący na katolicyzmie, filohitlerowcy z prasy oenerowskiej i endeckiej piętnują wszelkie ogłaszanie prawdy o hitleryzmie jako żydowsko-masońską robotę. W myśl tej przenikliwej koncepcji Katolicką Ajencję Prasową należałoby zdemaskować, jako zakonspirowaną placówkę masonerii; jej zaś redaktor naczelny, ks. Zygmunt Kaczyński, uchodzić odtąd powinien za chytrego „brata w fartuszku", kryjącego swe podstępne knowania pod księżą sutanną.

## Ten oczywiście musiał

Rozłam w Związku Młodej Polski nie ograniczył się, jak wiadomo, tylko do kierownictwa, ale objął i samą organizację, zarówno w stolicy, jak i na prowincji. Prasa ozonowa zamieszcza codziennie oświadczenia tych działaczy Z. M. P., którzy — pojedyńczo, lub gromadnie — opowiedzieli się za nowym kierownictwem z majorem Galinatem na czele. Nie sposób oczywiście stwierdzić, ilu członków organizacji poszło za falangistami i p. Rutkowskim. Zwróciliśmy jednak uwagę na drobne, ale jakże znamienne dla naszych stosunków, zjawisko. Oto wśród tych, którzy porzucili p. Rutkowskiego, znalazł się także osławiony Paweł Musioł, bohater pamiętnego najazdu oenerowskiego na Z. N. P. w jesieni ub. roku. Nikt nie posądzi nas o sympatie dla p. Rutkowskiego i „Falangi" — trudno jednak nie przyznać, że w sytuacji, jaka wytworzyła się ostatnio, falangowy odłam Zw. Młodej Polski niewątpliwie stanowi dla żywiołów oportunistycznych znacznie mniejszą siłę atrakcyjną, niż wczoraj. I dlatego Musioł wybrał tak, jak — musiał. Bo Musioł musiał zostać symbolem.

## MISTRZE BATA PRZECIW LUDOWCOM.

Jak doniosła prasa codzienna, w ciągu ubiegłego miesiąca przeprowdzona została na obszarze Małopolski szeroka akcja „terenowa" przeciw Stronnictwu Ludowemu. Po miastach i miasteczkach odbywano zebrania i uchwalono rezolucje, potępiające ruch ludowy. Z pośród wielu doniesień na ten temat, spodobało się nam szczególnie jedno:

„W Zakopanem dn. 10 b.m. odbyło się zebranie **Stowarzyszenia Dorożkarzy.** Przeciwstawiono się wszelkim próbom strajku na wsi i w mieście". Oto polityka z fantazją, co się zowie: kawalerska jazda przy strzelaniu z bata!

## DZIAD SWOJE — BABA SWOJE.

Wydarzenia polityczne ostatnich tygodni, rozłam w Zw. Młodej Polski, zerwanie między OZN a „Falangą", wykluczenie z Obozu p. Budzyńskiego i wystąpienie posłów „Jutra Pracy", powołanie do Rady OZN szeregu naprawiaczy i b. wyzwoleńców — wszystko, to wywołało niewątpliwie pewną dezorientację w opinii publicznej, która w naszych warunkach prasowych nie zawsze może zdać sobie sprawę z istotnego sensu różnych zjawisk politycznych. To, co się ostatnio działo w łonie OZN, mogło wśród słabo zorientowanych zrodzić wiele nieporozumień co do prawdziwego charakteru samego Obozu, mogło wzbudzić przekonanie o jakiejś „zmianie kursu" — w sensie ideowo - politycznym. Niezadowolenie prasy konserwatywnej, która atakuje obecne kierownictwo OZN za rzekome „lewicowanie" — wzmaga jeszcze dezorientację. Przecież konserwa stale zarzuca „Naprawie" radykalizm i kokietowanie lewicy; skoro więc Naprawa wraz z „kadzichłopami" objęła teraz w OZN kierownictwo odcinka wiejskiego, to znaczy, że Obóz poszedł na lewo! Tak może się wydawać bezkrytycznemu czytelnikowi pism konserwatywnych i w ogóle prawicowych — zwłaszcza, że „Naprawa" bynajmniej nie dementuje posądzeń o „radykalizm"...

Podobną metodę stosuje też prawica wobec min. Poniatowskiego, któremu zarzuca „lewicowość" — przy czym usiłuje obarczyć obóz demokratyczny odpowiedzialnością za rządową politykę rolną! Ta perfidna taktyka naszej reakcji nie jest bez powodzenia — trzeba sobie otwarcie powiedzieć, że w oczach najmniej uświadomionej części ludności (zwłaszcza ...inteligencji) „Naprawa", „Siew" i t. d. uchodzą za grupy nader radykalne i demokratyczne, a polityka rolna min. Poniatowskiego jest polityką demokracji. Skoro tedy „Naprawa" i „Siew" kroczą teraz razem z kadzichłopami na czele kampanii wiejskiej OZN, wniosek co do ewolucji OZN w kierunku demokracji narzuca się dość łatwo, zwłaszcza, że pewnym sferom bardzo na tym zależy.

Nieporozumieniom tym kładzie kres najbardziej chyba miarodajne oświadczenie szefa OZN, generała Skwarczyńskiego, który w wywiadzie prasowym powiedział:

„Mogę tylko stwierdzić jasno, że w polityce Obozu nie ma mowy o żadnym zwrocie na lewo; kierunek jej zakreślony jest przez deklarację ideowopolityczną OZN z dnia 21,II.1937 r., od której na krok nawet na lewo ani na prawo nie odstąpiliśmy i odstąpić nie zamierzamy".

Stwierdzenie tak autorytatywne powinno całkowicie wyjaśnić sytuację i zamknąć usta zawodowym siewcom dezorientacji. Znając jednak metody naszej prawicy, nie trudno przewidzieć, że i nadal będzie ona oskarżała OZN o pójście na lewo.

Dziad swoje — baba swoje...

# Kto feruje wyroki?

W Krakowie ukazała się niewielka rozmiarami broszura p.t. „Dokumenty chwili", która zdążyła już wyprowadzić z równowagi naszą ciemnogrodzką prasę. O co znów chodzi? Jakie to zajaśniały światła, że ją oślepiają i drażnią? Oto broszura ta jest zbiorkiem protestów i oświadczeń wybitnych Polaków, potępiających prześladowania Żydów. Zawiera ona także artykuł „Osservatore Romano" i odezwy kardynała Verdier'a i Morin'a, gromiące barbarzyńskie praktyki hitleryzmu a także „wszelkie inne objawy niesprawiedliwości, skądkolwiek pochodzą i przeciw jakiemukolwiek wyznaniu są skierowane".

„Dokumenty chwili" obejmują głośne zbiorowe wystąpienia profesorów wszechnic polskich, jak również oddzielne enuncjacje: rektora Stanisława Kulczyńskiego, prof. Mieczysława Michałowicza, prof. Ryszarda Ganszyńca, prof. Henryka Ułaszyna i innych oraz ostry protest lwowianek, zgrupowanych w „Polskim Stowarzyszeniu Kobiet z Wyższym Wykształceniem".

Zamieszczając większość tych oświadczeń na łamach „Epoki", witaliśmy je w swoim czasie jako głosy, zwiastujące i, naprzekór wszelkim przeciwnościom, potwierdzające radosną prawdę: **lux in tenebris lucet.** Tak! — pisaliśmy — światło nie zamiera w ciemnościach... Dopóki ośrodek tego światła trwa broniony na mężnej reducie doborowych umysłów, póty wszystkie drogi rozwoju przed kulturą polską stoją otworem. Nieliczność tego grona okupuje odwaga jego członków. Siłę bowiem, żywotność i rozpęd myśli, jaką grono tych ludzi przedstawia, mierzyć należy skalą naporu, który każdy z nich w swej codziennej, samotnej a więc najtrudniejszej pracy przezwycięża, aby pozostać sobą, aby pozostać w zgodzie ze swoim sumieniem. Czyż trzeba dodawać, że w walce, którą toczą owi szermierze światła, chodzi już nie tylko o prawa obywateli Żydów, ale o honor myśli polskiej, tej myśli, która gwiazdą prometejską świeciła u czoła największych Polaków.

Za tę mężną postawę, zajętą imieniem kultury polskiej i jej honoru, ci doborowi szermierze światła, — są obecnie wyklinani przez orędownicze organy prostactwa duchowego i zacofania. Jedno z pism, należące do rozgałęzionego dziś spisku ciemnoty, posuwa się nawet do ferowania wyroku, do wyobcowywania ich ze społeczeństwa polskiego. Śmieszni w swej samozwańczej, niczym nieusprawieliwionej wyższości hebesów — miotają anatemy i oświadczają, że odtąd tych wszystkich obrońców kultury oddziela przepaść od społeczeństwa polskiego.

Gdy przed wielu laty pytano poetę Łomonosowa, dlaczego akademia go nie przyjmuje, odparł ze śmiechem: „Jakto! to ja nie przyjmuję akademii!".

Oni to właśnie, ci wszyscy obrońcy człowieczeństwa odgrodzili się w swoich protestach imieniem kultury polskiej od tej zakały polskości, która obecnie w swej prostackiej pysze wyobcowywać chce ludzi, będących chlubną emanacją duszy i mózgu narodu. Ci nosiciele mroku w swym ubóstwie moralnym nie domyślają się nawet, że uznanie z ich strony brzmiałoby jak poniżenie, wawrzyny zaś z ich ręki byłyby stygmatem hańby!

*Od wydawnictwa*

*ABONENTÓW, KTÓRZY ZALEGAJĄ Z OPŁATĄ PRENUMERATY ZA KWARTAŁ UBIEGŁY, PROSIMY O UREGULOWANIE NALEŻNOŚCI.*

# Z teki pośmiertnej BOLESŁAWA LEŚMIANA

## Zbladła twarz Don Żuana...

ZBLADŁA TWARZ DON ŻUANA, GDY W ULICZNYM MROKU
SPOTKAŁ SWÓJ WŁASNY POGRZEB I PRZYNAGLIŁ KROKU.
I ZATRACIŁ RÓŻNICĘ MIĘDZY CIAŁEM W RUCHU
A TEM DRUGIEM, CO LEGŁO W TRUMIENNYM ZADUCHU.
CZUŁ TOŻSAMOŚĆ OBOJGA — ORSZAK SZEDŁ POŚPIESZNIE,
A JEMU SIĘ ZDAWAŁO, ŻE W MIEJSCU TKWI ŚMIESZNIE.
CZEKAŁ, AŻ UŚNIE W BOGU, LECZ STWIERDZIŁ NAOCZNIE,
ŻE BÓG NIE JEST — NOCLEGIEM I ŻE JUŻ NIE SPOCZNIE.
POGARDĄ NA ŚMIERTELNE ODPOWIADAŁ DRESZCZE.
„ŚPI SNEM WIECZNYM" — SZEPTANO, ALE NIE SPAŁ JESZCZE.
SZEDŁ CORAZ BEZPOWROTNIEJ — W POZGONNYM ROZPĘDZIE.
„ŚPI SNEM WIECZNYM"... SNU NIEMA I NIGDY NIE BĘDZIE!
„SZCZĘŚLIWY! JUŻ NIE CIERPI!" — TAK MÓWIONO WKOŁO, —
A ON W ŚWIAT TROSK MOGILNYCH KROCZYŁ NIEWESOŁO,
W ŚWIAT, GDZIE PIERWSZĄ UŁUDĄ JEST OSTATNIE TCHNIENIE, —
I ZACZĘŁO SIĘ NOWE — NIEZNANE CIERPIENIE.
DZWONY JESZCZE DZWONIŁY. NIE SŁUCHAŁ ICH WCALE.
SZLI LUDZIE — DOTĄD ŻYWI... MINĄŁ ICH NIEDBALE.
CZCZOŚĆ DZWONÓW I DAREMNOŚĆ ZROZUMIAŁ POGRZEBU
I ZMARŁEMI OCZYMA PRZYGLĄDAŁ SIĘ NIEBU.

## Tu jestem — w mrokach ziemi...

TU JESTEM — W MROKACH ZIEMI I JESTEM — TAM JESZCZE
W SZUMIE GWIAZD — GDZIE NIECAŁY W MGLE BOŻEJ SIĘ MIESZCZĘ,
GDZIE POWIETRZE, DRŻĄC USTNIE, SNY MÓWI I GRA MI,
I JESTEM JESZCZE DALEJ POZA TYMI SNAMI.
ZEWSZĄD IDĘ KU SOBIE; WSZĘDZIE NA SIĘ CZEKAM, —
TU SIĘ SPIESZĘ DOŚPIEWNIE, TAM — DOCISZNIE ZWLEKAM
I TRWAM, NIBY MODLITWA, POZA SWĄ ŻAŁOBĄ,
TA, CO SPEŁNIĆ SIĘ NIE CHCE, BO WOLI BYĆ SOBĄ.

## Niegdyś dom mój ochoczy...

NIEGDYŚ DOM MÓJ OCHOCZY I ŚWIAT ZA DĄBROWĄ
PORZUCIŁEM, BY DACHU NIE MIEĆ PONAD GŁOWĄ,
I SIEBIE PORZUCIŁEM GDZIEŚ NA SKRAJU LASU
BEZ POMOCY, BEZ ŻALU, BEZ ŚPIEWU, BEZ CZASU
I BIEGŁEM TAM, GDZIE BURZA, MROK I ZAWIERUCHA,
BY SERCE NIEPOKOIĆ I NARAZIĆ DUCHA —
TAK SIĘ CHCIAŁEM UTRUDZIĆ I KRWIĄ WŁASNĄ ZBROCZYĆ,
ŻEBY ISTNIEĆ WBREW SOBIE I BÓL SWÓJ PRZEKROCZYĆ.
I MINĘŁO LAT WIELE — I PO LATACH WIELU
MARNOTRAWIĄC DRÓG TYSIĄC — DOTARŁEM DO CELU
I PIEŚNIAMI NADE MNĄ ROZBRZMIAŁY NIEBIOSY,
POWIĘKSZYŁY SIĘ KWIATY, ZOLBRZYMIAŁY ROSY —
I ZGADUJĘ, ŻE Z PŁACZEM, PO WŁASNYM POGRZEBIE,
W OPUSZCZONĄ BEZDOMNOŚĆ POWRACAM DO SIEBIE.

## Tango

OGIEŃ NASTURCJI — W ŚLEPIACH KOTA.
MGŁY CZUJNEJ WOKÓŁ CIAŁ ZABIEGI.
ŁÓDŹ, CO ODPŁYWA W NIC — ZE ZŁOTA!
ŻAL — I LILIOWE BRZEGI.

SUŃMY SIĘ RUCHEM DWÓCH GONDOLI —
NIE PATRZĄC W LŚNIĄCE DNO PODŚWIATÓW, —
NIEPOKOJENI Z WŁASNEJ WOLI
TAJEMNĄ WIEDZĄ KWIATÓW.

W ZWIERCIADŁACH — ŚWIATEŁ PIĘTROWANIE,
A W SZYBACH — ZMROK POSĘPNY —
I NIEUSTANNE ZANURZANIE
STOPY W TEN DŹWIĘK NASTĘPNY...

A DŹWIĘKI, Z TAŃCEM SNUJĄC ZMOWĘ,
MGŁAWIEJĄ — BYLE MGŁAWIEĆ.
TANGO BEZWIEDNIE PURPUROWE
ZACZYNA — NIECHCĄC BŁĘKITNAWIEĆ...

STOPĘ, CO SZUKA MGŁY WYGODNEJ,
OSTATNI DŹWIĘK WYMINĄŁ —
I NIEZUŻYTY — I SWOBODNY
CHCE GINĄĆ... I JUŻ ZGINĄŁ.

## Dzieje współczesne w żywych osobistościach

# Manfred Kridl

Gdyby zapytano, co dzisiaj stanowi utajoną, a może najbardziej pożerającą tęsknotę podświadomości ludzkiej, sądzę, że nie rzadko otrzymano by odpowiedź: tęsknota do człowieka. W szarpaninie dzisiejszych walk politycznych, ideowych antagonizmów, w powszechnym zamęcie elementarnych pojęć etycznych zatraca się jedno z naczelnych wartości — istota człowieczeństwa. Coraz mniej spotykamy ludzi zdolnych wejrzeć w głąb myśli i odczuć innych, a zarazem zachowujących jasność i pewność własnego poglądu na świat, oraz z młodzieńczą żarliwością miłujących to, co jest największym dorobkiem ludzkości — kulturę. I dlatego z mimowolnym wzruszeniem zatrzymujemy się przy każdej postaci, u której uda się odkryć żywy nurt humanizmu.

Ta ogólnikowa uwaga dotyczy w tym wypadku konkretnej osoby dra Manfreda Kridla, profesora polonistyki na Uniwersytecie Wileńskim. W szeregu czołowych postaci współczesności polskiej nie można pominąć jego, który ostatnio stał się na swym odcinku czynnym pionierem demokracji i kultury.

Dr Manfred Kridl (ur. we Lwowie w r. 1886) ma za sobą tradycje pracy socjalistyczno-niepodległościowej. Już w gimnazjum lwowskim należy do „Kółka Socjalistycznego" i wydaje pismo hektograficzne „Niewolnik". Potem przez pewien czas pracuje w II „Proletariacie" oraz w Polskiej Partii Socjalistycznej na terenie d. Galicji. Następnie bierze udział w działalności Stronnictwa Ludowego — za



PROF. MANFRED KRIDL.

czasów Wysłoucha, prowadzi pracę oświatową w Kole Kościuszki Towarzystwa Szkoły Ludowej. Od roku 1905 należy do organizacji wojskowej „Odrodzenie" we Lwowie.

Ten cały etap działalności społeczno-wyzwoleńczej jest dla przyszłego profesora szkołą socjalistycznego myślenia i czucia, stwarza na przyszłość zasadnicze podstawy i trwałą orientację w sprawach społecznych, w sprawach moralności i kultury. Narazie jednak coraz bardziej zaczyna go pochłaniać praca naukowa. W roku 1909 otrzymuje stopień doktora, w r. 1922 habilituje się na Uniwersytecie Warszawskim. Do roku 1929 jest ponadto zajęty pracą nauczycielską (początkowo od 1908 r. — w szkołach prywatnych, potem w gimnazjum państwowym), w latach 1929—32 jest profesorem literatur słowiańskich w Brukseli i wreszcie w r. 1932 obejmuje katedrę polonistyki na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie.

Oczywiście nie piszemy tu biografii prof. Kridla, a tym bardziej monografii jego pracy naukowej. W sposób bardziej treściwy i wyczerpujący powiedzą o tym inne źródła. Tu dane biograficzne potrzebne są o tyle, o ile oświetlają linię sylwetki człowieka. I właśnie dlatego trzeba poruszyć jeden fakt, który się zdarzył na przestrzeni jego działalności naukowej i który jako objaw — już nie tyle naukowy, ile społeczny — jest bardzo charakterystyczny.

Prof. Kridl, który wyszedł ze szkoły filologicznej Pilata i Bruchnalskiego, w tym mniej więcej duchu pisze swe prace w pierwszej fazie twórczości, a więc np.: „Mickiewicz i Lamennais", „Antagonizm wieszczów", „Krytyka i krytycy", podręcznik — „Literatura polska wieku XIX" i t. p. Ale w roku 1929 następuje zdecydowany zwrot w zainteresowaniach i przerzucenie się w dziedzinę teorii i metodologii literatury. Wynikiem tego jest definitywne zerwanie z filologizmem i tradycyjną historią literatury i konsekwentna walka, jaką zaczyna toczyć w swych publikacjach, odczytach czy pracach seminaryjnych o podstawy naukowe badań literackich, o stworzenie własnej, integralnej metody tych badań.

Dokoła enuncjacji profesora Kridla w latach 1936—37 tworzy się namiętna dyskusja, tworzy się żar polemiki. I byłoby wszystko w porządku — boć zrozumiałą jest rzeczą, że poglądy poszczególnych adeptów nauki o literaturze na zagadnienia metodologii są bardzo różnorodne — gdyby ta polemika utrzymała się na poziomie należnym życiu naukowemu.

Niestety jednak dyskusja wykazała nie tylko zacietrzewienie, ale dziwny obskurantyzm naszego środowiska naukowego. Z poziomu argumentów fachowych zeszło się do zarzutów np. „mentalności bolszewickiej", zaczęło się ciskać — powiedzmy wprost — obelgami. Namiętny spór przerodził się w ostrą, ziętą nienawiść, w walkę właściwie polityczną.

Fakt ten staje się dla profesora jednym z pierwszych najsilniejszych rozczarowań wobec dzisiejszej rzeczywistości. Wywołuje początkowo szczere zdziwienie, stopniowo coraz płomienniejsze oburzenie.

Gorąco miłujący atmosferę czystości nauki i broniący jej na terenie swoich środowisk pracy, nie może zrozumieć, skąd ten polityczny, a często wręcz wiecowy ton w dyskusji... o literaturze? I postawa protestu zaczyna się precyzować.

Miarę jednak cierpliwości wyczerpują ostatnie zajścia na wyższych uczelniach. Rozchełstane barbarzyństwo zalewa uniwersytety, chce stworzyć supremację kastetu i pałki. Ale o to już nawet mniejsza. To widzi każdy przeciętny człowiek. Profesora Kridla oburza już sam fakt, że można komuś odmawiać prawa kształcenia się — prawa wszakże najbardziej elementarnego naszej cywilizacji, można dzielić równych obywateli Państwa na jakichś ludzi rasowo „lepszych" czy „gorszych". I przy tym wszystkim macić powagę zajęć naukowych, dopuszczać do zamknięcia uniwersytetu, zamykać dostęp do wiedzy wszystkim, którzy jej pragną, do wiedzy, która w dzisiejszych warunkach życia wszak jest tak trudną do zdobycia. I profesor Kridl przez cały czas piastowania katedry na Uniwersytecie Wileńskim nieustępliwie walczy o to, aby przynajmniej jego wykłady i ćwiczenia nie stały się terenem rozgrywek, nie stały się wiecami. A walczy często zupełnie odosobniony. Kiedy zaś wyższe uczelnie stają się terenem ulicznych walk i kiedy wewnętrzna dyscyplina nie może ich należycie opanować, jest jednym z głównych organizatorów publicznych głośnych protestów grupy profesorów i naukowców.

Nie wystarczy wiedzieć o tym wszystkim, żeby uznać postawę moralną profesora Kridla, trzeba widzieć te toczone z dnia na dzień boje o każdą ławkę, każdy spokojny dzień pracy, o każdy cichy zakątek sali wykładowej czy seminaryjnej, w których mogli się skupić ci, co chcą się uczyć — aby ocenić jego stanowisko i jego wysiłki.

Z umiłowania atmosfery pracy i swobody myślenia wypływa stosunek profesora do jego uczniów. Usiłuje pobudzić ich do samodzielnej twórczości, rozdmuchuje każdą inicjatywę, jaką dostrzeże u młodych. Jego ćwiczenia seminaryjne stają się często trybuną ścierających się poglądów. W Wilnie stwarza dokoła siebie środowisko badawczo-naukowe, opiekuje się takimiż w innych ośrodkach uniwersyteckich; nie przejdzie obojętnie około żadnego zdolnego i myślącego słuchacza, którego napotka na swej drodze pedagogicznej. Jednym z tego objawów jest stworzone przezeń wydawnictwo: „Z zagadnień poetyki", liczące dotąd 7 tomów.

W czasach obecnych powszechnej nietolerancji i kastowości myślenia, profesor Kridl jest jednym z nielicznych przykładów liberalizmu wobec cudzych przekonań. Cieszy się, kiedy dostrzeże u młodzieży myśl cokolwiek samodzielną i konsekwentną, bez względu na to, czy dotyczy to dziedziny naukowo-literackiej, czy każdej innej. Cieszy się na każdy przejaw zdrowej aktywnej postawy młodych wobec życia, cieszy się, widząc, że dla kogoś stopień egzaminacyjny nie jest jedynym celem. I stąd atmosfera ogromnej serdeczności, jaka otacza profesora ze strony grupy jego uczniów, stąd to wzajemne zaufanie i stąd ta jego rola patrona młodych, jaką coraz częściej zdarza mu się przybierać.

„Człowiekiem jestem i nic, co ludzkie nie jest mi obce" — ta utarta sentencja mimo to wyraża pełnię wewnętrznego humanizmu profesora Kridla. Ale obce mu jest to, co barbarzyńskie i zwierzęce, to, co upadla i niszczy. To też dzisiaj, kiedy to barbarbarzyństwo coraz bardziej opanowuje wszystkie domeny życia, kiedy wolność myślenia i czucia stają się frazesem — prof. Kridl znowu wrócił do pewnego rodzaju działalności politycznej, stając się czołowym organizatorem Klubu Demokratycznego w Wilnie.

Dziwnym może się wydać pisanie o człowieku żyjącym i tak jeszcze młodym. Ale dziś, kiedy warunki, w jakich żyjemy coraz bardziej zacierają jednostkę, niszczą jej indywidualność, kiedy stoimy twarzą w twarz z totalizmem — największym zaprzeczeniem osobowości ludzkiej — walcząc w imię demokracji musimy wydźwigać z cienia te jednostki naszego społeczeństwa, które są skupiskiem ideałów wolności i umiłowania kultury. A jeżeli jeszcze uprzytomnimy sobie, że profesor Manfred Kridl myśli i działa w Wilnie, gdzie brak warunków dla szerokiego oddechu szczególnie srodze daje się odczuwać, to postać jego nabiera jeszcze wymowniejszego znaczenia.

*MARIA ŻEROMSKA.*

# Klęska która jest zwycięstwem

## Spór o postawę Marii Dąbrowskiej

*„Że w wypadku przeminięcia warstwy ziemiańskiej przepadła by czy zmarniała i Polska, to może myśleć tylko ten, kto zapatrzony jest wyłącznie w jeden skrawek życia ojczyzny i nie widzi ani wartości ani kultury ani siły całego swego narodu".*

*Maria Dąbrowska: „Moja Odpowiedź"*

Dążności reformatorskie, rodzące się w łonie grup uprzywilejowanych, lub związanej z nimi inteligencji, nie przekraczają na ogół granic, wyznaczonych stanowiskiem społecznym, a więc i widnokręgiem ideowym reformatorów. Nie trzeba jednak zapominać, że ideolog może nieraz o całe niebo przewyższać przeciętny w danym środowisku poziom umysłowy i moralny, może więc dostrzegać i rozumieć zjawiska, zupełnie niedostępne krótkowzrocznemu egoizmowi uprzywilejowanych, zasklepionych w tradycyjnej rutynie kastowego konserwatyzmu i ekskluzywizmu. Odwaga i uczciwość umożliwiają w ten sposób jednostce wzniesienie się ponad wiele

przesądów i pojęć, uznanych w jej sferze za nietykalne tabu, którego naruszenie będzie zawsze okrzyczane jako świętokradztwo i wywrotowość. Nie zrywając nawet całkowicie z światem przywileju, nie przechodząc na pozycje przeciwne, ideolog, reformator, pisarz może dać tak radykalną krytykę istniejącej rzeczywistości, może w sposób tak druzgocący wykazać bezsensowność i niemoralność panujących stosunków, może wreszcie tak dalece obnażyć nicość, sobkostwo lub obskurantyzm warstwy, z której pochodzi, że — choćby nawet nie zamierzał tego, — podważy w oczach całego społeczeństwa najświętsze racje jej istnienia. Uświadomi wszystkim szkodliwość jej dla dobra powszechnego i sprzeczność jej interesu z interesem ogółu, napiętnuje ją jako zaporę na drodze rozwoju kulturalnego.

Nic to, że wnioski, że wskazania praktyczne, które z swej krytyki wyprowadza, będą potulne i połowiczne! Że wysnuty z tej krytyki program reform będzie bardzo daleki od postulatów ludowych! Warstwa uprzywilejowana przeklnie i wyklnie taki program i jego twórcę, gdyż boi się treści, zawartej w jego teoretycznych uzasadnieniach i moralnych argumentach. Kto bowiem ośmielił się krytykować i podawać w wątpliwość jej najświętsze, tradycyjne uprawnienia i przywileje, ten już ją zdradził lub jest na drodze do zdrady! W ten sposób każda śmiała i uczciwa krytyka, ostrzem swym zwrócona przeciw użytkowcom przywileju, staje się własnością demokracji. Tak właśnie zrozumiano powszechnie wystąpienie Marii Dąbrowskiej w sprawie reformy rolnej.

Dla nikogo w obozie demokratycznym nie było przecież tajemnicą, że „Rozdroże" wcale nie jest programem walki o prawdziwie demokratyczną reformę rolną. Nie było tajemnicą już dlatego, że Dąbrowska nikogo w błąd nie wprowadzała, przeciwnie—otwarcie stwierdziła, że się z programem rolnym Stronnictwa Ludowego (a więc i całej demokracji) nie zgadza, przyczem w kilku miejscach swej książki wyraźnie dała do zrozumienia, że aprobuje rządową politykę rolną, jakkolwiek obrona tej polityki nie jest zadaniem „Rozdroża". Jednocześnie — zarówno w „Rozdrożu", jak w „Mojej Odpowiedzi" — zaznaczyła, że nie występuje przeciw istnieniu warstwy feodalnej („wrogiem ziemian nie jestem. bo w ogóle nie jestem wrogiem"), nie wzywa do walki z tą warstwą, nie pragnie zniesienia gospodarki folwarcznej.

Dąbrowska nie zapiera się wiary w patriotyzm i idealizm ziemiaństwa. Wierzy (a przynajmniej wierzyła pisząc „Rozdroże"), że warstwa ta, przekonana o konieczności gruntownej naprawy naszego ustroju rolnego, z całym zapałem odda się jej realizacji, zakładając... Ziemiański Związek Przyjaciół Reformy Rolnej! Apostołuje ziemianom, żeby wzgardzili dobrami doczesnymi (co zresztą radzi też... chłopom) i wskazuje na „konieczność przebudowania się duchowego warstwy, zwanej ziemiańsko-szlachecką". Nie szczędzi argumentów ekonomicznych, politycznych, kulturalnych, militarnych, historycznych i moralnych, żeby tylko przekonać szlachtę o potrzebie reformy rolnej! Przemawia wreszcie do jej interesu, podobnie, jak demokracja „szlachecka" przed stu laty.

Oczywiście ta wiara Marii Dąbrowskiej w ostateczne zwycięstwo dobrej woli i poczucia patriotycznego obowiązku u ziemian pochodzi stąd, że nie zerwała ona uczuciowych więzów, łączących ją z szlachtą. Tęczowy program społeczny, przyjęty przez Agnisię Niechcicówną jeszcze w latach uniwersyteckich, ów etyczny i solidarystyczny kooperatyzm Abramowskiego, stanowi do dnia dzisiejszego niewzruszoną podstawę jej ideologii społecznej. Nie jest to bynajmniej program ziemiaństwa, program konserwacji stosunków feodalnych w rolnictwie! Dowodzi tego chociażby generalna ofensywa całej prawicy społecznej przeciw ruchowi spółdzielczemu. Program ten, wyznawany przez pewną część inteligencji postępowej, zapatrzonej w pomyślność Danii, Szwecji czy Finlandii, zakłada istnienie (wzgl. stworzenie) licznej warstwy zamożnych chłopów, dla których spółdzielczość nawet bez zniesienia obecnego ustroju rolnego mogła by w pewnych warunkach (rynek zbytu!) stać się źródłem pomyślności gospodarczej. Oczywiście nawet w najbardziej korzystnym wypadku pomyślność ta objęła by minimalną zaledwie cząstkę ludności wiejskiej — dla wielomilionowej rzeszy bozrolnych i małorolnych kooperatyzm, wymagający pewnego poziomu gospodarki — oraz zasobów — nie daje bez gruntownej przebudowy ustroju rolnego żadnych olśniewających perspektyw. Ale tej przebudowy autorka „Dni i Nocy" nie chce.

Dlatego program Marii Dąbrowskiej, zrodzony z szlachetnych pobudek, może niewątpliwie znaleźć zastosowanie w poczynaniach, skierowanych przeciwko urzeczywistnieniu ludowego programu społeczno-politycznego i gospodarczego. Kto by jednak chciał o to obwiniać autorkę „Rozdroża", dowiódł by, że nie umie odróżnić idealnych intencyj pisarza od obiektywnego sensu jego abstrakcyjnych, nieżyciowych koncepcyj teoretycznych.

Skoro bowiem program społeczny Dąbrowskiej może być użyty dla celów, których ona sama bynajmniej nie pragnie, to trzeba powiedzieć, że spotyka ją los każdego obrońcy dobrej sprawy, jeżeli zajmuje stanowisko nierealne, utopijne. Z poza swych tęczowych okularów nie chce ona od lat 25 widzieć rzeczywistych motywów działania warstwy ziemiańskiej, choć dostrzega je doskonale każdy chłop w najciemniejszym zakątku Rzeczypospolitej. I jeżeli je nawet — jak np. przy pisaniu „Rozdroża" — zauważy, tłumaczy ten przykry fakt jakimś nieuświadomieniem czy potępienia godnym, ale dającym się „wyapostołować", egoizmem ziemiaństwa. A przecież pogląd Marii Dąbrowskiej na dzieje sprawy rolnej w ciągu wieków i na rolę, jaką w tych dziejach warstwa feodalna odegrała, jest zupełnie trzeźwy i niezaciemniony żadnymi złudzeniami! Ta uparta, mimo gorzkich doświadczeń, wiara w możliwość przywołania *dziś* ziemiaństwa na drogę obowiązku i poświęcenia — płynie właśnie z nierealnego, tęczowego światopoglądu Agnieszki i z jej uczuciowego stosunku do świata szlacheckiego. Pierwiastki teoretyczne i emocjonalne, Dom ludowy w Brukseli i dwór w Serbinowie — nie pozwalają Dąbrowskiej na zajęcie konsekwentnego stanowiska ludowego i wyzbycie się złudzeń w stosunku do ziemiaństwa.

Taka jest postawa społeczna „Rozdroża". Niepokonalna sprzeczność między wynikami analizy historycznej i teoretycznej, a programem praktycznym, prowadzi Dąbrowską do wielu niekonsekwencyj. Tak

np. na pierwszych kartach „Rozdroża" stwierdza, że cała nasza umysłowość znajduje się ciągle jeszcze pod wpływem szlachetczyzny, która szczególnie silnie oddziaływa na społeczno - polityczne poglądy inteligencji miejskiej. Ale nieco dalej oświadcza: „Daleka jestem od twierdzenia, że ziemiaństwo nie mogło by i nawet nie *powinno* by promieniować na chłopską wieś. *Niestety* jednak dwór polski bardzo mało już czym na wieś i na miasto promieniuje".

To zbawienne promieniowanie dworu na społeczeństwo a przede wszystkim wieś — powinna umożliwić właśnie... reforma rolna:

„Na swych uszczuplonych obszarach ziemianie będą mieli nie mniejszą lecz większą możność bezpośredniego kulturalnego oddziaływania na chłopa".

Ale komuż to potrzebne, skoro — jak nam Dąbrowska na podstawie dziejów dawnych i nowych wykazuje — bilans zasług warstwy feodalnej dla Polski wypada bardzo ujemnie?

Mimo licznych tego rodzaju niekonsekwencyj, społeczna treść „Rozdroża" zawiera się dla nas przede wszystkim w dokonanej przez Dąbrowską druzgocącej krytyce wielkiej własności rolnej, oraz w gruntownym, nieodpartym podważeniu samej racji jej utrzymywania w Polsce współczesnej.

W tym względzie Dąbrowska żadnej obrony nie potrzebuje. Najlepszą obroną „Rozdroża" wobec demokracji jest zapieniona i nie przebierająca w środkach nagonka, rozpętana przeciw tej złowieszczej dla ziemiaństwa książce; jest rozwinięta przeciw jej autorce kampania najbardziej zaciekłych, niesumiensce, warstwa ziemiańska, wiedziona nieomylnym instynktem środowiska, dostrzegła niebezpieczeństwo i uderzyła na trwogę. Obrońcy feodalnego stanu posiadania ujrzeli na kartach „Rozdroża" złowrogie widmo demokracji i ludowej reformy rolnej...

Bo książka ta, choć pisana nie ze stanowiska ludowego, choć w konkluzjach połowiczna i pojednawcza — daje ruchowi ludowemu potężny oręż w jego walce o sprawę chłopską i o gruntowną demokratyzację stosunków społecznych i kulturalnych. Dla dobra kraju — „Rozdroże" stało się własnością demokracji.

Sformułowanie jasnego poglądu na społeczną treść „Rozdroża" uznaliśmy za rzecz konieczną po przeczytaniu niezrozumiałego w intencjach artykułu Władysława Kowalskiego p. n. *Sielankowy* (!) *zakątek Marii Dąbrowskiej* — zamieszczonego w *„Epoce"* z dn. 15 lutego b. r. Autor tego artykułu, pisarz i publicysta chłopski, zarzucił Dąbrowskiej, że w zbiorze polemik z konserwatywnymi krytykami „Rozdroża", ogłoszonym przez nią pod wspólnym tytułem „Moja Odpowiedź" ...cofa się przed atakiem wstecznictwa i wyrzeka się wypowiedzianych w „Rozdrożu" poglądów! Zdaniem Kowalskiego, Dąbrowska w „Mojej Odpowiedzi" udowodniła „żałosną czczość malkontenctwa", bo oto przed trybunałem obszarnictwa „pod wpływem załamania się psychicznego, kaja się i wypiera się swego czynu w sposób oskarżycielski dla siebie"! Co gorsza—„nie językiem idei, lecz językiem uczuciowego urazu odpowiedziała swoim krytykom"!

Cóż takiego powiedziała Dąbrowska w „Mojej Odpowiedzi", że ściągnęła na siebie ciężki (ale jakże lekko wypowiedziany!) zarzut porzucenia sztandaru, zaparcia się ideału, zdradzenia sprawy? Czytaliśmy tę książkę jaknajuważniej, zastosowaliśmy metodę brania każdej tezy „pod mikroskop", konfrontowaliśmy odpowiedź Dąbrowskiej z tym, co o niej Kowalski napisał. Stwierdziliśmy, że autorka „Rozdroża" w odpowiedzi swej nie tylko nie „skapitulowała", ale poszła znacznie dalej, niż półtora roku temu, że pełna nienawiści, reakcyjna nagonka odsłoniła przed Dąbrowską rzeczy, których w „Rozdrożu" nie widziała, bo nie chciała widzieć, że „krytyka" rozwiała wiele jej złudzeń i nadziei, których się rozpaczliwie trzymała, że jej własna warstwa w brutalny sposób sponiewierała uczucia, żywione, mimo wszystko do ostatnej chwili przez pisarkę. Zapewne, nawet w „Mojej Odpowiedzi" Dąbrowska broni się jeszcze — nie przed ziemianami, ale przed ostatecznymi wnioskami, które demokracja wyciągnęła już dawno, a do których i Agnieszkę Niechcicównę zmusza smutna rzeczywistość: „niepoprawny" egoizm ziemiaństwa. Broni się przed nieuchronnymi konsekwencjami własnego stanowiska — ale broni się bez wiary w skuteczność obrony, gdy wyznaje: „...wszystkie ogłoszone teksty lub opracowania studiowałam zawsze z *żarliwą chęcią znalezienia właśnie dodatnich przejawów stosunku ziemiaństwa do sprawy chłopskiej*". Nie znalazła ich. A potem przyszedł atak na „Rozdroże". Ziemianie nie posłuchali apostolstwa — jakże bolesne rozczarowanie przyniosło to Dąbrowskiej!

Kto, będąc pisarzem i publicystą chłopskim, nie chce tego widzieć i zrozumieć, temu trzeba by chyba odpowiedzieć słowami samej autorki, która tak charakteryzuje pełne patriotycznej troski tezy „Rozdroża":

„...napisałam je z żarem najgłębszej wiary, że służę, jak umiem, Polsce i moim rodakom, a także idei prawdziwego człowieczeństwa w Polsce. Kto za słowami tej książki nie czuje wiary, nadziei i miłości, temu trudno, oczywiście, udowodnić, że w nich jest i wiara i miłość i nadzieja. Tak samo, jak człowiekowi, który patrząc na nuty, nie czuje i nie słyszy duchem ich melodii, trudno udowodnić, że zawierają pieśń".

Demokracja usłyszała melodię—usłyszeli ją też obrońcy wielkiej własności. Nie chciał jej usłyszeć jeden tylko Kowalski, co gorsza nie usłyszał jej właśnie tam, gdzie zabrzmiała najdonioślej, najtragiczniej: w „Mojej Odpowiedzi". Nie zrozumiał, jakie potępienie feodalizmu polskiego zawarło się w takim wyznaniu Dąbrowskiej:

„Są jednak racje, których wolało by się nie mieć. I z którymi występuje się też nie dla przyjemności, lecz z rozpaczliwą nadzieją, że im jednak życie może zaprzeczy. Kto nigdy, bodaj w życiu osobistym, nie mówił nikomu bliskiemu twardej o nim prawdy i nie czekał z zapartym tchem dowodu, czy się może nie myli, i nie przekonywał się nagle, że jest jakby gorzej, niż myślał — ten nie rozumie nic z tego, co ja dziś czuję".

Jest to istotnie — jak powiedział Kowalski — „załamanie się psychiczne Dąbrowskiej", ale w zgoła innym znaczeniu, niż można by wnosić z jego artykułu. Jest to nawet może i klęska autorki „Rozdroża", ale klęska, która jest już — zwycięstwem. Tęczowa zasłona została, jeżeli nie zupełnie zdarta, to uniesiona wysoko w górę i po za nią ukazała się bezlitosna, twarda rzeczywistość, kryjąca prawdę, przed którą Dąbrowska broniła się długo i rozpaczliwie. I to jest głęboki sens „Mojej Odpowiedzi",

jej wartość dla sprawy ludowej i dla Polski, wartość, której Kowalski nie chce dojrzeć ani uznać. Od „Rozdroża" do „Mojej Odpowiedzi" przeszła Dąbrowska drogę, którą nie łatwo odbyć w ciągu półtora roku, drogę ciężką i pełną bolesnych zawodów. Droga ta nie prowadzi bynajmniej do „sielankowego zakątka", ale — na redutę walki. Tylko tak wolno i należy rozumieć obecną postawę Marii Dąbrowskiej, niezależnie nawet od tego, czy ona sama pójdzie tą drogą do końca, czego nie chcemy przesądzać.

Wobec głęboko ideowej, wolnej od oportunizmu i wygodnego kwietyzmu postawy, zajętej w „Mojej Odpowiedzi" („... nie umiem napawać się artystycznym widzeniem świata, gdy idzie o Polskę"), pióro cofa się poprostu przed oceną takiego zarzutu, postawionego Dąbrowskiej przez Kowalskiego: „*Uraza osobista wybujała w niej po nad ideę, gdyż idea sama w sobie okazała się drobiazgiem*"! Bo cóż na taki zarzut odpowiedzieć? I — czyż trzeba w ogóle bronić tu Dąbrowskiej, skoro przyświeca jej ten sam ideał, do którego urzeczywistnienia zmierza cała demokracja:

„Polska olbrzymich sił, tkwiących w chłopie i robotniku, w rzeszach, na to wiecznie skazanych, że ledwie znaki życia dają, kiedy tylko w bujnym rozwoju wszystkich możliwości ich życia jest ojczyzny istotna moc, przyszłość, obrona i wygrana".

*MICHAŁ JORDAN.*

# Posłowi Prawdy — pozgonne

„Myśl z pokorą klęka przy tych zwłokach, ale nie modli się — tylko płacze, bo nie grzechy zmarłego rozpamiętuje — jeno jego zasługi..." Temi słowy, które przed pięćdziesięciu z górą laty rzucił Świętochowski na trumnę J. I. Kraszewskiego, winniśmy pożegnać i jego samego, gdy skończył swój długi, po brzegi twórczą wypełniony pracą, żywot ziemski.

Siedemdziesiąt lat wysiłku twórczego, siedemdziesiąt lat walki i zmagań tytanicznych, często beznadziejnych! Siedemdziesiąt lat pracy i... samotności!...

„Zawsze w orszaku, jak kapitan!" syknął zjadliwie Michał Anioł, spotkawszy idącego przez jeden z placów rzymskich w otoczeniu swych uczniów i wielbicieli — Rafaela. „A ty zawsze samotny, jak kat!" odparował cios Rafael. Rafael omylił się: samotnymi bywają i półbogowie...

Niech nas nie łudzi hałaśliwy rozgłos, jakim witano każde wystąpienie Wielkiego Zmarłego w pierwszych dziesiątkach lat jego działalności: rzadki z jego czcicieli i wyznawców ówczesnych dotrzymywał mu kroku...

Powietrze, którym oddychał Poseł Prawdy było zbyt mroźne, jak zwykle na wyżynach, droga zbyt kamienista, widok otchłani pod stopami przerażał. Dopiero, gdy w ostatnim okresie żywota zstąpił na równiny znalazł wielu, aż nadto wielu heroldów swej chwały. Lecz wątpię, czy w głębi duszy był zadowolony z tego towarzystwa!

Świętochowski rozpoczął swą działalność publicystyczno-literacką w chwili, gdy w życiu duchowym Polski pogasły wszystkie światła. Nigdy, nawet po trzecim rozbiorze, rozpacz i beznadzieja nie opanowały tak samowładnie duszy narodu, jak wówczas właśnie. Na dwóch tysiącach pól bitew 63 r. padło prawie wszystko, co było światłem i nadzieją narodu, jego ukochaniem i przyszłością. Zabrakło nawet tej pociechy, jaką po poprzednich pogromach była wiara w lud „uśpionego olbrzyma" i w bliski tryumf sprawiedliwości społecznej, której rzeczniczką miała być rewolucja europejska: lud obojętnie patrzył na rozwijający się przed jego oczyma dramat dziejowy i chętniej podawał ucha obietnicom najeźdźcy niż zaklęciom patriotów, zaś Europa... Sześć lat zaledwie oddziela upadek powstania od katastrofy sedańskiej: zamiast wolności nadeszła epoka „siły przed prawem", Bismark stał się panem i kierownikiem losów świata na lat pięćdziesiąt bez mała.

Myśl polska zawisła w powietrzu. Istna mania małości ogarnęła oświeconą cząstkę społeczeństwa: wyrzekano się wszelkiego romantyzmu, chrzcząc go mianem egzaltacji, każdy śmielszy ruch, wszelka myśl, wzlatująca nad poziom trosk powszednich budziły podejrzenie. Kraj znalazł się w położeniu ciężko chorego, który po przebytym kryzysie lęka się lada powiewu, lada żywszego promyka. Mierność tryumfowała na każdym polu...

W takiej to chwili gromadka młodych pisarzy, świeżo upieczonych studentów „Szkoły Głównej", wbiegła a raczej wdarła się przemocą na arenę działalności publicystycznej. Ochorowicz, Chmielowski, Prus, Sienkiewicz i wielu innych pomniejszych, zgrupowawszy się w redakcji „Przeglądu Tygodniowego", rozpoczęła zaciekłą z marazmem walkę. I oni odżegnywali się od romantyzmu, tępiąc bezlitośnie marzycielstwo, wybujałą uczuciowość, fantastyczne rojenia i inne tym podobne grzechy poprzedniego pokolenia, i oni głosili kult rozumu, konieczność liczenia się z rzeczywistością oraz wyzbycia się szkodliwych mrzonek. Lecz było w nich coś, co gorszyło i przerażeniem napełniało ogół, dotknięty popowstańczym bezwładem: była świeżość, był rozmach, był zapał i wiara — czuć było, że pióro ich sypie iskry, gdy pisze.. Wypędzony z głowy romantyzm, ukrył się w sercu i przepoił płynem wrzącym ich krew młodzieńczą.

Starzy bronili się dość niezdarnie, to też walka wprędce zakończyła się zwycięstwem młodych, zwłaszcza, że przewodził im szermierz tej miary, co Świętochowski. Świetność jego stylu olśniła wszystkich, starych i młodych. Artystyczna proza polska, stworzona przez wielkich romantyków: Krasińskiego, Słowackiego i Żmichowską, zajaśniała pod piórem młodego publicysty wszystkimi promienistymi barwami dawnych mistrzów. Nie zbrakło mu nigdy metafory, porównania, obrazu, sypał nimi jak z rękawa. A przy tym ani śladu banalności, ani cienia gawędziarskiego gadulstwa, tych grzechów śmiertelnych dotychczasowej prozy naszej: zwięzłość, wykwint, rzeźbiarskie wycyzelowanie każdego zda-

nia, blask mieniących się barw, wężowe błyskawice dowcipu, niespodziewane a zawsze świetne aforyzmy — człowiek ten nie pisał atramentem lecz siał gwiazdami. Jak unoszony na wodzie ognistym Eljasz, rzuciła odbiegająca w zaświaty myśl polska pozostałym, na ziemi Elizeuszom swój płaszcz królewski, płaszcz nie wyżebrany, „lecz świetnościami dawnych przodków naszych świetny..." I płaszcz ten podjął pierwszy — Świętochowski!

Mówiliśmy już, że polska myśl ówczesna zawisła w próżni. Na całej przestrzeni Rzeczypospolitej nie znalazłbyś ani jednego ugrupowania społecznego, z którym mogłyby bez zastrzeżeń złączyć się czujące serca lub myśl wysoka. Lud nieoświecony, narodowo obojętny, czasem nawet wrogi dla poczynań patriotycznych, — szlachta wstrząśnięta materialnie i rozbita moralnie po katastrofie, zdana na łaskę i niełaskę zwycięzcy, lękając się własnego cienia, mieszczaństwo, dziwny zlepek rodzimego kołtuństwa i obcych, bardzo silnych, przymieszek, a na powierzchni — garstka inteligencji zatomizowanej, zdezorientowanej, przerzedzonej straszliwie przez proskrybcje najeźdźcy — oto cała Polska ówczesna. Na czem się tu było oprzeć, gdzie zapuścić korzenie, co objąć miłosnym uściskiem?

Różne indywidualności — różnie reagowały w tym stanie rzeczy. Franciszkańskie serce Prusa („cor cordium") wiodło go między maluczkich i pokrzywdzonych, by krzepić ich, podnosić, zapalać; lecz i on nie wytrzymał zaduchu małości i zagrzmiał Jowiszowym gniewem w arcydziele swym, w „Lalce". Macierzyńskie serce Orzeszkowej obejmowało wszystkich i wszystko, wierząc, że nie ma takich przegród i otchłań, ponad którymi nie dało by się przelecieć na skrzydłach miłości i nadziei. Drugi obok Świętochowskiego arcymistrz prozy polskiej, Sienkiewicz, zmieniwszy sobie wygrywanie „na wyciągniętej kwincie uczucia", odbiegł daleko w kraj lat dawnych, w przeszłość rojną, strojną i buńczuczną, zadatek lepszej przyszłości. I Świętochowski znalazł schron dla tysiąckrotnie udręczonego serca. W szkicu „Moja głowa" wyraźnie wypowiada się w tym przedmiocie: tam, w mózgu mędrca, w chłodnych lecz kryształowo przejrzystych przestworzach czystej myśli znajdzie przybytek i przytułek boleśnie przez życie umęczony duch człowieczy, tam piękno, tam wolność, tam szczęście jedynie godne człowieka. A człowiek był dla Świętochowskiego wszystkim. „Pereat mundus — fiat homo!" tak brzmiało jego hasło. Wyrzekłby się nawet ojczyzny, gdyby miała być siedliskiem istot niegodnych miana ludzi!

Z tego tytułu należy mu się tytuł „wielkiego moralisty", tu styka się on z Mickiewiczem, Krasińskim, Norwidem, Słowackim. Przemawia innym od nich językiem, bardziej nowoczesnym, chłodnym, trzeźwym, lecz pod tym chłodem, pod tą trzeźwością żarzy się rozpalony do białości duch przykutego do skały greckiego półboga. Czytając jego utwory, stąpamy po szczytach...

Ale ten Prometeusz umiał być i Heraklesem. Znalazłszy schronisko, skąd mógł bezpiecznie z uśmiechem wyższego nad drobiazgi codzienne mędrca kontemplować dziwaczny korowód spraw ludzkich, nie zamknął się w nim, lecz z siłą, cechującą wszystkie wystąpienia, wziął się do żmudnej nudnej, niewdzięcznej i niebezpiecznej pracy oczyszczania stajni Augiasza, jaką było nasze społeczeństwo ówczesne. Tysiące mistrzowskich felietonów, rozsianych na łamach „Przeglądu Tygodniowego", „Nowin", „Prawdy" świadczą, ile czynnej miłości bliźniego kryło się w tym wielkim, a tak okrutnie i bezzasadnie o brak miłości oskarżanemu sercu.

Wieloletnie przebywanie na szczytach nie ujdzie nikomu bezkarnie. Przywykły do szerokich horyzontów wzrok z trudem orientuje się w powszednich sprawach bytowania ludzkiego. Sprawdziło się to i na Świętochowskim... Gdy po wojnie japońskiej zatrzęsły się ściany domu niewoli, gdy z rozwartych czeluści wydobyły się na świat zastępy nowych o wolność bojowników, Poseł Prawdy nie umiał narazie zorientować się w nowowytworzonej sytuacji. Z nut jego padały nieraz słowa ostre, gorzkie niesprawiedliwe. W wyobraźni pokolenia, które wyrosło już w Polsce odrodzonej i nie przeżywało grozy, męki i zmagań w nocy niewoli, dawny „Poseł Prawdy" utrwalał się jako postać niemal mityczna. Późniejszy Świętochowski, zamknięty w swojej samotni, zdala od nowego i wartkiego nurtu życia w Niepodległej Polsce sam częściowo rozwiewał wyobrażenia o swej nadludzkiej walce w imię wolności i człowieczeństwa, zaprzeczając pewną serią swych wystąpień dawnym ideałom, których przez dziesięciolecia był nieustraszonym i nieugiętym heroldem i wyznawcą. Nie tu miejsce ani chwila, ażeby dociekać przyczyn tej częściowej przemiany w życiu niepospolitego pisarza i moralisty. Ale na łożu śmierci, już przed samym odejściem w wieczność, ostatnim błyskiem swego wielkiego umysłu ogarnął rzeczywistość współczesną i w słowach pełnych ognia i siły młodzieńczej opowiedział się po stronie wolności. To ostatnie wystąpienie gasnącego „Posła Prawdy" nabrało szczególnej wymowy i znaczenia. Znaczenia ostatniej woli i zakazu anektowania nieugiętego ducha na rzecz małości i tyranii: „Ludy

*„już spostrzegły lub zaczynają spostrzegać, że nowe dobro gorsze jest od starego zła, że dyktatury nie tylko dręczą narody, ale je duszą. Te smoki muszą zginąć, jak ginie wszystko, co usiłuje powstrzymać napór i pęd natury do tworzenia rozmaitości. Nie zaprzecza tej wróżbie zadowolenie narodów zmechanizowanych, świeżo nakarmionych zdobyczami bandyckiego faszyzmu; te łupy będą szybko strawione a wtedy, kiedy już zabraknie nowej strawy, rozpocznie się bunt głodnych przeciw tyranii. Dziś bezprawie samowoli, będącej duszą dyktatur, zdradza już chorobę, która prędzej czy później zakończy się śmiercią".*

„Poseł Prawdy" posiadał dar bezcenny, a tak rzadki w naszym społeczeństwie, nieustraszoną odwagę cywilną. I próżno mówią, że po tym wielkim Polaku pozostanie tylko nazwisko, zaś twory ducha jego utoną w zapomnieniu: na jakiejże to wyżynie stanąć by musiała literatura polska, gdyby „Aspazja" „Ojciec Makary", „Hymn niemych", „Asbe", „Moja głowa", „Strachy Pentelikonu" i tyle, tyle innych płodów jego myśli miało spocząć w lamusie rzeczy szanownych, lecz już nieużytecznych? Niemasz zaiste i nie będzie społeczeństwa, któreby mogło pozwolić sobie na podobne marnotrawstwo. Dzieło jego życia trwać będzie, dopóki myśl polska w polskie przeobleczona słowa zapładniać będzie duszę świata.

*DR. TADEUSZ STĘPNIEWSKI.*

# Sygnały z Polski „B"

**Naiwne i szkodliwe pojęcia**

A jednak na podstawie tego co obserwować można nietrudno dojść do wniosku, że ten stan w dziedzinie posiadania ziemi i te wszelkie przerażające dysproporcje mają w dużej mierze swe uzasadnienie w sferze zjawisk narodowych. Istnieje z gruntu naiwne i szkodliwe pojęcie, że przebudowa ustroju rolnego na ziemiach północno-wschodnich, których konsekwencją musi być utrata całych olbrzymich przestrzeni gruntów przez polskie ziemiaństwo i przejście ich w ręce elementu tutejszego, osłabi polski charakter tych terenów. Naiwność i szkodliwość tego rodzaju mniemania występuje tu w całej swej okazałości. Autorami tego nonsensu logicznego są oczywiście sfery ziemiańskie, które na swojej „misji dziejowej" pragną oprzeć obronę swych materialnych interesów. Argumenty gospodarcze dawno przestały przemawiać za utrzymaniem wielkich obiektów gospodarczych*) (fatalny stan gospodarczy większości wielkich majątków, zaniedbanie uprawy całych olbrzymich terenów, niebywałe zaległości podatkowe itd), obecnie obronę swych zagrożonych fortun trzeba podeprzeć koniecznie argumentami natury patriotycznej. Argumenty te idą po linii uzasadnienia tezy, że polskość na ziemiach północno-wschodnich — to ziemiaństwo.

Zniszczcie kresowych „żubrów", a ziemie te przestaną być polskimi!

Niebrak naiwnych, którzy gotowi z dobrą wiarą przyjmować tego rodzaju bzdurę i ci muszą wiedzieć, że polskość ziem północno-wschodnich i pozostawienie ich w dalszym ciągu pod wpływem zachodniej kultury zależy przede wszystkim od tego, czy odczują one opiekę rządu polskiego, powołanego przecież do sprawowania pieczy nad wszystkimi obywatelami państwa.

**W imię polityki państwowej.**

Obecnie sytuacja wygląda w ten sposób, że państwo jakgdyby oddało w dzierżawę ¼ swego terenu anachronicznej społecznie klasie ziemiaństwa,**) a lud mieszkający na tym terenie pozostawiło na łasce i niełasce ziemiaństwa, które większość dochodu społecznego z ziemi zatrzymuje dla siebie, pozostawiając dla 5 milionów tutejszego ludu nędzne plony ze skrawków piaszczystych, międzyleśnych gruntów. Polityka państwa wobec tych ziem musi być taka, aby element „tutejszy" miał możność przekonać się, że polskość i Polska obecna to nie kasta wymierającego ziemiaństwa lecz szerokie masy ludu, że obecna kultura polska nie ma już na szczęście przeważającego charakteru szlacheckiego, a więc nie jest „pańska" i dla nich nie przydatna. Trzeba chłopu białoruskiemu dać ziemię, do której on ma historyczne prawo, aby nie przymierał z głodu i nie miał powodu złorzeczyć przeciwko polskości zmieszanej pojęciowo z rozpostartym na północno-wschodnich ziemiach „żubrami", a wówczas Białoruś stanie się taką samą częścią Rzeczypospolitej jak Pomorze, Mazowsze czy Podlasie, gdzie odrębny czynnik etnograficzny nie wpływa na dążności separatystyczne.

Ludność „tutejsza" czyli Białoruska jest dotychczas mimo wszystko przychylnie do państwa polskiego usposobiona, a jej łagodny, szczery i życzliwy charakter nie powinien być w dalszym ciągu wystawiany na ciężką dla niej a dla państwa ryzykowną próbę. Wszelki szacunek dla prawa i uległość wobec państwa może być przełamany przez samozachowawczy instynkt głodu coraz silniej smagający i drażniący łagodną stoicko postawę ludu.

Pamiętajmy, że ziemie północno-wschodnie będą wówczas polskimi skoro Polakami czuć się będą wszyscy ich mieszkańcy nie tylko zaś potentaci ziemscy tych terenów. Pełnymi obywatelami państwa czuć się będą oni tylko wówczas jeżeli państwo zadba i ochroni ich byt zagrożony.*)

**Drzemiące stawy**

Według Al. Świętochowskiego („Genealogia teraźniejszości") naród Polski jest w trakcie przekształcania się narodu szlacheckiego w naród demokratyczny. Jeżeli ten proces odbywa się w całej Polsce, to na ziemiach północno-wschodnich (w szczególności w wojew. Nowogródzkim) śmiało rzec można, że mamy jeszcze tu w dalszym ciągu naród szlachecki, niewiele tylko w swej istocie naruszony przez mieszczaństwo.

Demokratyczne tendencje zwłaszcza wcześniejszego ustawodawstwa nie zamąciły opóźnionego prawie o 100 lat rozwoju społeczno - politycznego tych ziem. Zasadnicza cecha feudalizmu zależność człowieka od człowieka pozostała tu w dalszym ciągu, zmieniając tylko kwalifikacje z prawnych na gospodarcze.

Gdy skończyła się pańszczyzna z mocy ustaw państwowych i zwyczaju, zaczęła się zależność czysto gospodarcza. Dawniej chłop pracował na gruncie pana, ale jeść zwykle miał co. Obecnie ma jedno — czy kilkuhektarowe gospodarstwo bez lasu a często pastwisk i łąk. Nie mogąc wyżyć, oddaje się w dalszym ciągu w zależność od pana. Ten brak samodzielności gospodarczej i środków materialnych wa-

*) Wł. Studnicki w swej przed kilkunastu laty wydanej książce o przewrotach i reformach agrarnych Europy podaje m. in. Łotwę jako przykład państwa, które ucierpiało gospodarczo z powodu gwałtownie przeprowadzonej reformy rolnej. Produkcja rolna w latach po reformie znacznie zmniejszyła się w porównaniu z produkcją w latach przed reformą. Obecnie Łotwa okres gospodarczej rekonwalescencji ma już daleko poza sobą i jest krajem kwitnącym w dziedzinie gospodarki rolnej dzięki właśnie w porę przeprowadzonej reformie rolnej. Teraz my — kraj o idealnym chyba w/g Studnickiego ustroju rolnym — musimy dziesiątki tysięcy swoich obywateli wysyłać na roboty do bogatszego sąsiada, bo sami nie jesteśmy w stanie dać ani pracy, ani odpowiedniego utrzymania całej masie zbędnych w naszym rolnictwie ludzi.

**) Al. Świętochowski „Genealogia teraźniejszości" str. 212 „...my uszlachceni o niziny społeczne, o masy ludowe ciągle jeszcze nie dbamy, ciągle nas zajmują wierzchołki, ciągle budujemy kopuły oparte na wątłych rusztowaniach. Niech góra będzie zadowolona —dół może poczekać, bo jest cierpliwy". Str. 232 „Zamiast w każdym człowieku uszanować jego godność osobistą, obdarzamy samowładztwem uprzywilejowane jednostki a z masy społecznej czynimy ich niewolników"...

*) Patrz poprzednie rozdziały tego studium w Nr Nr 8 i 10 „Epoki".

runkuje niemożność osiągnięcia przez lud tutejszy politycznego uświadomienia. Demokracja polityczna, żeby mogła się przyjąć, winna mieć za warunek niezależność gospodarczą i dostateczne warunki materialne. Nasze ziemie wschodnie warunkom tym nie odpowiadały całkowicie nigdy, dlatego też demokracja polityczna, która gdzieindziej osiągnęła znaczny stopień użyteczności życiowej, tutaj przeszła niepostrzeżenie. Procesy świadomościowe, które na Kowieńszczyznę i częściowo Wileńszczyznę trafiły już w XIX w., na inne tereny leżące na południe i południowy wschód od wielkiego szlaku kulturalnego Białystok — Grodno — Wilno nie zdołały przeniknąć i gdy lud Kowieńszczyzny i częściowo Wileńszczyzny deklarował się jako litewski względnie polski, ludność terenów południowych pozostała w dalszym ciągu „tutejszą".

„Tutejszość" ta jest wskaźnikiem braku wyklarowania się stosunków narodowościowych. Trudnoby jednak sądzić, że ten brak świadomości narodowej da się utrzymać w nieskończoność. Procesy w dziedzinie polityczno-narodowej mogą być wstrzymane i opóźnione, nie mogą jednak być całkowicie uniemożliwione. Na Litwie przyszły one wkrótce po uwłaszczeniu chłopów, a więc daniu im gospodarczej niezależności i tym samym powołaniu warstw ludowych do tworzenia kultury narodowej.

Na Wileńszczyźnie te procesy uświadomieniowe trafiły wcześniej dzięki: 1) nieco lepszej sytuacji materialnej, 2) utartemu szlakowi ekspansji kulturalnej przez Wilno.

Puszczański zakątek Nowogródczyzny leżący na uboczu musi być pod tym względem upośledzony, jednak prądy świadomościowe mimo wszelkich przeszkód przenikają i zyskują w coraz szerszym zakresie prawo obywatelstwa. Upełnorolnienie tutejszego ludu dałoby bezwątpienia asumpt gospodarczy do szybkiego przyjęcia, zwycięstwa i umocnienia się prądów świadomościowych.

Błędem do nienaprawienia jednakże byłoby hamować proces gruntowania się świadomości narodowej ludu tutejszego przez utrzymywanie istniejącego ustroju rolnego. Przykład Rosji, gdzie lud sam bez czynnika kierowniczego w państwie upomniał się o swoje prawa nie powinien działać zachęcająco. Każdorazowy rząd winien dbać, aby lud osiągnięcie samodzielności gospodarczej odczuł jako dobrodziejstwo ze strony państwa, nie zaś jako wywalczoną zdobycz.

**Reforma rolna — to konieczność.**

W tych warunkach gospodarczych i polityczno-społecznych jedynym wyjściem z trudnej i nie potrzebnie zawikłanej sytuacji jest przeprowadzenie radykalnej reformy rolnej, polegającej na likwidacji większej własności i przekazania ziemi na upełnorolnienie gospodarstw karłowatych.

Przeprowadzenie tej reformy winno być dokonane za jednym zamachem, aby nie tworzyć całe lata ropiejącej rany w stosunkach społecznych. Przeprowadzona szybko i zdecydowanie reforma rolna wprowadzi pewność w sferze posiadania ziemi i pociągnie za sobą odpowiedniejsze jej zużytkowanie.

Dotychczasowy stan w gospodarce rolnej sprawiał, że zaledwie ok. ¼ całego obszaru gruntów była wyzyskana należycie, reszta, należąca albo do karłowatej albo do wielkiej własności nie może być w sposób odpowiedni użytkowana. Wielka własność zwykle nie jest w stanie, karłowata zaś nie może prowadzić racjonalnej gospodarki. W ten sposób powstają olbrzymie straty w produkcji rolnej. Wielka własność na skutek takiego „cesarskiego cięcia" zamiast długiego chorobliwego procesu rozbijania jej i zmuszania do parcelacji drogą polityki podatkowej i kredytowej przestała by istnieć, zmieniając się na optymalne gospodarstwa produkcyjne. Właściciel majątku byłby spokojny że utrzyma na pewno w swym ręku jego część (30, 50, czy 80 ha zależnie od ustalenia maksymalnej wielkości gospodarstwa rolnego), tymczasem w obecnej sytuacji gospodarczej istnieje zawsze możliwość utraty całości obiektu.

Reforma rolna na ziemiach półn.-wschodnich — to zastarzała konieczność uzdrowienia stosunków gospodarczych i społecznych. Jak każda zastarzała choroba, której oznaki stają się już niebezpieczne dla organizmu, musi być przeprowadzona przy pomocy zdecydowanego zabiegu, nie zaś leczenia jej ziółkami, tak i tu zamiast dążyć do uzdrowienia naszych mocno zaniedbanych stosunków rolnych jakimiś okrężnymi, a wątpliwymi w swych skutkach drogami, raz należy się zdecydować na zabieg skuteczny i uregulować nasze archaiczne stosunki w dziedzinie ustroju rolnego na ziemiach północno-wschodnich. Od uregulowania stosunków rolnych na tych ziemiach zależy w wielkim stopniu dalszy normalny rozwój naszego państwa.

*JAN DUCHNOWSKI.*

# Nie kijem go, to pałką

**Można już zrobić pewien bilans ciekawej dyskusji na temat totalizmu, która toczyła się w ostatnich miesiącach między prasą katolicką a prohitlerowską. Okazało się, że w łonie katolicyzmu polskiego istnieje w tej sprawie poważna różnica poglądów. Tendencje wyraźnie totalistyczne, hitlerowskie przejawiły się bowiem nie tylko w oenerowskim „Prosto z mostu" i endeckiej „Myśli Narodowej", t. zn. wśród świeckich faszystów religii rzymsko - katolickiej. W obronie totalizmu wystąpili też niektórzy duchowni na łamach kilku, nieautorytatywnych organów katolickich. Ale i poważny teolog, o. Bocheński, profesor jednej z uczelni watykańskich, wypowiedział się zupełnie wyraźnie przeciw katolickiemu „neo-liberalizmowi" — za totalizmem.**

**Czołowe organy myśli katolickiej w Polsce, poważny, jezuicki miesięcznik teoretyczny „Przegląd Powszechny" i organ Akcji Katolickiej, poznańska „Kultura" — odgrodziły się jednak stanowczo od totalizmu. Otwarcie wrogie wobec faszyzmu stanowisko zajęły też organy morżowego Stronnictwa Pracy, stojącego na gruncie demokracji parlamentarnej.**

**Otóż trzeba powiedzieć, że antytotalistyczny odłam katolicyzmu polskiego, a jest to odłam dominujący i kierowany bezpośrednio przez najwyższe władze kościelne, nie wypowiedział się — poza grupą morżową — wcale za ustrojem**

demokratycznym! I w tym, zdaniem naszym, spoczywa sedno zagadnienia. Nie ulega już wcale wątpliwości, że wśród katolików polskich żywioły hitlerowskie stanowią mniejszość, że ogarnęły one raczej młodsze pokolenie endo-oenerowsko-sanacyjnej inteligencji, dla której religia jest kwestią przyzwyczajenia, konwenansu, dobrego tonu, oportunizmu, tradycji, rutyny lub interesu politycznego.

Ale cóż najważniejsi przeciwnicy totalizmu w obozie katolickim wysuwają zamiast monopartyjnego systemu niemiecko-włoskiego? Czy ustrój parlamentarno - demokratyczny? Bynajmniej! Powtarzamy: na stanowisku demokratycznym stoi jedynie Stronnictwo Pracy, które cieszy się wprawdzie poparciem najwyższych władz kościelnych, ale — jak się okazuje różni się w swych poglądach od koncepcyj, propagowanych przez antytotalistyczny „Przegląd Powszechny". Bo publicyści organu jezuickiego, przeciw totalizmowi wysuwają... ustrój korporacyjny, t. zn. system w obecnych warunkach typowo faszystowski. Nie żyjemy przecież w czasach gospodarki średniowiecznej i nie możemy do niej powrócić! Dlatego ustrój korporacyjny jest dziś organizacyjną podbudową faszyzmu i niczym innym być nie może, niezależnie od tego, czy poszczególni korporacjoniści zdają sobie z tego sprawę, czy nie. Choć — po włoskich doświadczeniach, — nikogo nie można w tym wypadku nieświadomością usprawiedliwiać. Doświadczenie pierwszego faszyzmu wskazuje, że ustrój korporacyjny posłużył reakcji do całkowitego rozwalenia instytucji demokratycznych, do zamknięcia ludności w przymusowych, kierowanych przez faszystów, organizacjach gospodarczych i społecznych, do stotalizowania całego życia narodowego. To samo było w Austrii, gdzie korporacjonizm był nawet czysto katolicki — w myśl wskazań encyklik.

I takim ustrojem chce nas uszczęśliwić ów antytotalistyczny „neo-liberalny", jak go nasi filo-hitlerowcy przezywają, katolicyzm, reprezentowany przez najpoważniejsze ogniska katolickiej myśli społeczno - politycznej! Nie darmo powiedziano w związku z wewnętrznymi dziejami Polski w ostatnim roku, że nie każdy antytotalizm jest już demokracją. Bo rzeczywiście: w endeckiej „Myśli Narodowej" kilku „starych" (pp. Komarnicki, Zamorski, Tarnowski) wystąpiło przeciw totalizmowi bynajmniej nie w imię demokracji, którą wyraźnie potępili! Nie, oni chcą państwa... „narodowego". Weźmy znów do ręki naprawiacki „Zespół", zwalczający niby totalizm, a znajdziemy tam takie wyznanie wiary: „Nie jesteśmy demo-liberałami. Odżegnujemy się od wszechwładnego, rządzącego parlamentu, nie mniej, niż od totalizmu". Czy nie tak samo wypada potraktować antytotalistyczne wystąpienia organów prasowych Akcji Katolickiej?

Bo tylko ustrój demokratyczno-parlamentarny z wszystkimi, wyszydzanymi przez faszystów, znamionami „demo-liberalizmu" jest w naszych warunkach rzeczywistą, nie pozorną, nie formalną antytezą totalistycznej despotii; tylko on zabezpiecza społeczeństwo i jednostkę ludzką przed potępioną z Watykanu tyranią fizyczną i duchową!

Trzeba powiedzieć, że w polskim obozie katolickim prawdę tę zrozumiało tylko Stronnictwo Pracy. Akcja Katolicka **jako całość**, mimo że jest od dłuższego czasu przedmiotem ostrych ataków ze strony endo-oenerowskiego faszyzmu, nie stanęła dotąd na gruncie demokratycznym.

---

Dn. 30 kwietnia r.b. o godz. 11-ej rano odbyło się w obecności rodziny i najbliższych przyjaciół przeniesienie trumny ze szczątkami znakomitego poety Bolesława Leśmiana, z katakumb do grobu rodzinnego na Powązkach.

## LISTY DO REDAKCJI

**Szanowna Redakcjo!**

Wobec nieprawdziwych pogłosek, jakie zaczęły kursować po zgonie mego Męża ś.p. Senatora dr. Emila Bobrowskiego, proszę o umieszczenie następującego wyjaśnienia.

1. Ś.p. Senator Emil Bobrowski wyznania nie zmienił — był rzymskim-katolikiem.

2. Władze kościelne rzym.-kat. odmówiły udziału w pogrzebie.

3. Wobec tej odmowy zwrócono się do proboszcza ewangelickiego ks. dr. Niemczyka, który bezinteresownie i serdecznie pośpieszył z oddaniem chrześcijańskiej posługi Zmarłemu.

Kraków.

*BRONISŁAWA BOBROWSKA.*



## KSIĄŻKI NADESŁANE

**Wydawnictwa Instytutu Śląskiego,** Katowice 1938. Skład główny: Warszawa, „Nasza Księgarnia".

**Marek St. Korowicz.** Górnośląska ochrona mniejszości (1922—1937) na tle stosunków narodowościowych z 3 mapami.

**Julian Krzyżanowski:** Podania i baśni ludowe.

**Janusz Staszewski:** Przeszłość wojenna Śląska z 4 mapami.

**Paweł Rybicki:** O badaniu socjograficznym Śląska.

**Zbigniew Miłobędzki:** Przemysł w województwie śląskim.

**H. G. Wells:** Dziecię gwiazd. Autoryzowany przekład z angielskiego **A. Kurlandzkiej.** Wydawnictwo M. Fruchtmana. Warszawa 1938.

**Henryk Wroński:** Z głową wspartą na ręku... Poezje. Wydanie drugie. Gebethner i Wolff. Warszawa 1938.

**Anatol Stern:** Rozmowa z Apolinem. Poezje. Wydawnictwo F. Hoesicka. Warszawa 1938.


REDAKCJA i ADMINISTRACJA. WARSZAWA, UL. O R D Y N A C K A 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26 630

R E D A K T O R przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. R Ę K O P I S Ó W nie zwraca się

P R E N U M E R A T A kwartalnie — zł 4.—. Numer pojedyńczy 50 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.

REDAKTOR i WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 4053 Odbito w Zakł. W. Piekarniaka. Warszawa, Ordynacka 3.